Nr. 45. Kraków, dnia 6 listopada 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

W Sejmie i około Sejmu.

Sprawy w Sejmie naszym zaogniły się tak, że stanęły niemal na ostrzu miecza!

Wskutek energicznego postawienia na porządku dziennym sprawy reformy wyborczej do Sejmu zaogniła się kwestya ruska.

Klub bowiem ukraiński postawił daleko idące żądania, jakkolwiek bowiem występował rzekomo w imię reformy wyborczej i jakkolwiek pozornie w tym kierunku stosował swoje żądania, to w rzeczywistości domagał się zmiany naszego ustroju prawno-państwowego. Żądania bowiem ukraińców sięgają w głąb naszych stosunków i wnikają w najistotniejszą treść naszych dóbr.

Postulaty ukraińców w konsekwencyi prowadziły by do podziału władz autonomicznych i centralnych na oddziały polskie i ruskie; przedewszystkiem chodzi im o sprawy szkolne, rzecz jednak naturalna, że po zaspokojeniu tego żądania, podejmą dalsze w kierunku podziału administracyi.

A podział administracyi, podział Galicyi — to najistotniejsza treść dążeń ukraińców. Uważając, jakoby wschodnia część kraju była wyłącznie krajem ruskim, Rusini twierdzą, że Polacy są tam uzurpatorami praw cudzych. A właściwie ma być nas we wschodniej części kraju, garstka zaledwie. Kilka tysięcy ziemian i urzędników. Mieszczaństwa wszakże polskiego w Galicyi wschodniej, ani ludności wiejskiej — zdaniem Rusinów — wcale niema: są to Rusini, których Polacy chcąc spolonizować, zapisali do kościoła łacińskiego, są tu Rusini-łacinnicy.

Perfidne postawienie kwestyi ze strony historyków ruskich jest aż nadto widoczne. Pierwszy lepszy podręcznik historyi pouczy każdego, jak właściwie jest z ludnością polską na Wschodzie, jakie my tu mamy prawa wykrzesane krwią i pracą.

Życie zaś samo mówi więcej. Dowodzi, ile dusz my straciliśmy, ile ich nieustannie tracimy na rzecz Rusinów dlatego, że brak nam szkół polskich, niedość mamy kościołów, za mało księży, za mało nad ludem opieki i pracy.

Utrzymanie jedności kraju jest warunkiem zasadniczym. O ile zgodzilibyśmy się na podział kraju, tem samem zrezygnowalibyśmy z półtora miliona Polaków, jacy żyją we wschodniej Galicyi; ruska bowiem administracya zniszczyłaby ich rozwój kulturalny i gospodarczy i zrusyfikowałaby całkowicie. A nam ani posterunków historycznych ani ludzi tracić nie wolno!

Dlatego na żądanie Rusinów nikt zgodzić się nie może. I w tej samoobronie zszeregować się muszą wszyscy Polacy, tak jak zszeregowali się wszyscy Rusini w ataku.

Rusini twierdzą, że idzie im o „sprawiedliwą“ reformę wyborczą (sprawiedliwą w myśl wskazań, które scharakteryzowaliśmy powyżej). Załatwienie jej uważają za rzecz tak naglącą, że uformowanie nowej ordynacyi wyborczej uważają za konieczniejsze od uchwalenia budżetu krajowego.

Co więcej: organy ukrainofilskie wprost oświadczają, że Rusini wprost nie dopuszczą do uchwalenia budżetu krajowego przed uchwaleniem reformy wyborczej sejmowej.

Obstrukcya więc i awantury, jakkolwiek nieco usunięte niedawno zdają się ponownie zagrażać.

Jest tem większe niebezpieczeństwo, że zdają się one zagrażać nie tylko Sejmowi ale krajowi całemu.

Jeżeli przypatrzymy się bliżej polityce ukrainofiskiej, zrozumiemy jej psychologię. Rusini nie są zdatni do pracy produktywnej i normalnej. Dlatego chcą jak najwięcej wyzyskać przy momentach przełomowych, niezdolni do stopniowego rozwoju, do stopniowej ewolucyi własnej i stopniowego rozszerzania własnych praw.

Podczas reformy wyborczej do parlamentu łudzili się nadzieją, że tylu wprowadzą do Rady państwa posłów, że złamią przewagę i siłę i zna-

czenie Polaków. Nie tylko to im się nie udało, ale nie zdobyli nic dla siebie.

W głównym swym organie, „Dile“ przyznają, że oni nie złamali Polaków, ani nie zdobyli uniwersytetu, ani nie zaspokoili żadnej potrzeby ruskiej. Przed wyborców przychodzą z gołemi rękoma, albo kradną zdobycze Koła polskiego dla siebie.

Wobec tego „Diło“ pisze, że Rusini muszą poza parlamentem szukać dla siebie środków obrony. A nimi są zdaniem „Diła“: awantury w kraju, na uniwersytecie, mord Potockiego itp. O reformę wyborczą stanie do walki cały naród ruski, a wówczas *nie wstrzymają go ani więzienia ani kule, ani armaty.*

Są to groźby miotane jawnie ze szpalt głównych dzienników ruskich. Jest to *jawne rzucanie żagwi mordu* w spokojne tłumy.

Atak zdołamy odeprzeć, pełni jednolitości i siły, jak odparliśmy niejeden paroksyzm walki ruskiej. Ale za jej wybuch są odpowiedzialni nie tylko sprawcy wybuchu, ale i władze, mające możność zduszenia anarchicznego ruchu, a tolerujące go uprzejmie.

***

Wobec spisu ludności.

Na czoło wszystkich spraw ogólno-narodowych w dobie obecnej wysuwa się sprawa najaktualniejsza, mająca być rozstrzygnięta z końcem b. r., a także przez styczeń 1911 r. — spis ludności. Jak się taki spis ludności przeprowadza, o tem najlepiej pouczają broszury:

dra Edwarda *Dubanowicza:* „Spis ludności niedaleko!“ Cena 20 hal., w większej liczbie taniej. — Wydawnictwo „Jedności Narodowej“, skład w kancelaryi śp. dra Tadeusza Skałkowskiego, Lwów, Sykstuska 46; —

posła dra Józefa *Burka:* „Uwagi ze względu na zbliżający się spis ludności.“ Nakładem Towarzystwa Szkoły Ludowej. Kraków, Floryańska 15.

W obu broszurkach znajdzie każdy dokładne i szczegółowe przedstawienie ustawy.

Krótko rzecz ujmując, można jedynie na to zwrócić uwagę, że gdy miasta uskuteczniają spis ludności w ten sposób, że każdy właściciel realności obowiązany jest dostarczyć wypełnionych przez podnajemców arkuszy wpisowych, to wsie pod tym względem znajdują się w odmiennem położeniu.

O ile chodzi o obszar dworski, to tam za spis ludności odpowiada przełożeństwo. Natomiast gminy przeprowadają spis ludności przy pomocy osobnych komisarzy spisowych, dotąd według utartej praktyki ustanawianych przez starostwa, a w każdym razie przez nie zatwierdzanych.

Jakie niebezpieczeństwo dla ludności polskiej mieści w sobie spis ludności przeprowadzony z tendencyjną dla ludności polskiej niechęcią, o tem szeroko się rozwodzić nie potrzebujemy.

Cały dziesiątek lat i dłużej nawet możemy cierpieć wskutek naszego niedołęstwa lub apatyi, gdyby okazała się ona przy spisie ludności.

Zwłaszcza na wsi! Tam baczyć należy na wszystko. I na osobę komisarza konskrypcyjnego i na dokładne poinformowanie ludności, co o spisie ma sądzić, a przedewszystkiem, jak zeznawać ma do rubryki żądającej wymienienia języka towarzyskiego.

Ten punkt daje najwięcej sposobności do nadużyć lub nieścisłości.

Na Śląsku Cieszyńskim to pole do nadużyć, do wpisywania ludności polskiej za Czechów lub Niemców. — Na Bukowinie robiono dotąd z Polaków narodowość słowacką. — W Galicyi wschodniej zaś — Rusinów.

Zwłaszcza to niebezpieczeństwo jest w Galicyi wschodniej, gdyż znaczna część ludności polskiej w życiu potocznem używa języka ruskiego. I w tym wypadku nic prostszego, że wskutek bałamutnie lub podstępnie postawionego przez komisarza spisowego pytania przyznać się pytany musi do ruskiego języka towarzyskiego.

Wszelkie usiłowania nasze skierowane być powinny w tym kierunku, ażeby urząd komisarza spisowego spoczywał w ręku człowieka pewnego i rzetelnego, a w każdym razie nieusposobionego źle wobec ludności polskiej i ażeby ludność polska przyznawała się do *polskiego* języka *towarzyskiego.*

Ogromne niebezpieczeństwo, czy spis ludności wypadnie dobrze, istnieje w księstwie Cieszyńskiem i w Galicyi.

Na Śląsku Czesi i Niemcy, pierwsi przy pomocy sekretaryatu czeskiego w Morawskiej Ostrawie, drudzy przy pomocy komory arcyksiążęcej już dzisiaj oddziaływują bardzo silnie na ludność polską, aby przyjmowała narodowość obcą.

To samo dzieje się na Wschodzie. Po wsiach toczy się silna propaganda ruska, aby zbałamucić ludność polską i aby skłonić ją do zeznań mających świadczyć o tem, iż ludności polskiej na Wschodzie kraju niema lub jeżeli jest, to nieliczna, a tem samem pozbawiona znaczenia.

Tym wszelkim zabiegom przeciwstawić musimy energiczną celową akcyę polską, zwłaszcza ze strony organizacyi politycznych i oświatowych, wogóle ze strony tych wszystkich, którzy są w stanie zrozumieć i odczuć doniosłość spisu ludności.

Marja Konopnicka o umiłowaniu idei.

Poznałyśmy się kiedy i gdzie? — mniejsza o to! Dość, że byłam wtedy młodą dziewczyną, której się zdawało, iż jest pozytywistką, jak wszyscy młodzi w latach 80-tych i że taką właśnie każda dusza polska „postępowa“ być powinna. Z zachwytem uwielbienia stanęłam przed Konopnicką, pieśniarką naszego pokolenia i oczarowana Jej dobrocią i serdecznością napisałam do Niej wkrótce list, posyłając jakiś wierszyk pensjonarki. Odpowiedź, którą otrzymałam, była dla mnie w owe czasy skarbem i skierowała myśli moje ponad poziomy pozytywizmu. Załączam ją tu w całości, jakkolwiek zawiera trochę szczegółów subjektywnych.

Tajemnicą i czarem wielkich słów, jest ich moc, budząca dusze do czynu. Niech więc wolno mi będzie na ten świeży grób, zamiast osobistego wyrażenia żalu, złożyć Jej własne słowa. Mogą z nich wyrosnąć kwiaty w ludzkich duszach, i powiększyć te najdroższa dla ducha Jej wieńce.

Ludwika Życka.

Warszawa, dnia 18 października 1888 r.

Pani! Z przyjemnością odczytałam list pani. Dowodzi on, że pomimo banalności chwili, w jakiej nastąpiło poznanie się nasze, zapamiętała pani ze mnie coś lepszego, coś, co panią popchnęło do przemówienia tych słów kilku w liście.

Otwiera mi pani swe serce i pozwala patrzeć na nie. Widzę ten przedmiot drobny i drżący; który jednak ma siłę ukochać wiele dobrego i wiele też wycierpieć w życiu. Właśnie przez to ukochanie i dla niego. Tylko też takie cierpienia godne są serca ludzkiego. To wszystko, co je w imię egoizmu zakrwawia — nie mniej boli, to prawda, ale nie uszlachetnia. Szuka pani sił zewnątrz? Wielkie moce krzepiące ducha, stoją dla wszystkich otworem; ale z nich tylko ten bierze pokrzepienie, kto je wziąć ma siłę. Całkiem upadłym na duchu nie pomoże nic i nikt: oni wyrok swój noszą w słabości swojej.

Jest mocą krzepiącą przyroda — i jest mocą krzepiącą nauka — i jest nią miłość. Bez miłości owszem, nic nie nakarmi i nie napoi duszy. A im miłości wyższy cel, tem siła z niej większa.

Kto kocha człowieka — ułomność kocha. Niechże nie narzeka, kiedy mu się ta cała miłość w sercu pokruszy. Ale kto umiłował ideę — ten dobry dział obrał dla serca swojego. Ku kochaniu swemu idąc — w światło idzie, a imię kochania jego — nieskończoność.

Kto cierpi dla człowieka, roztkliwia się sam nad sobą i płacze: ale kto ideę poślubiwszy, cierpi dla niej, ten się za szczęśliwego ma i godzinom czarnym błogosławi. A nie po to się miłuje aby miłość swoją, jako piękny klejnot, na pokaz ludziom nosić, ale aby w sercu ognisko i żar mieć, ku ogrzaniu wszystkich, którzy zziębli w duszy.

Cóż powiem o wierszu pani? Mamże go sądzić po ludzku, czy po literacku? Gładki on jest, ale to kwilenie nad sobą nie pomoże nikomu, a panią osłabia na duchu. Poezja tak jak miłość — jeśli nie jest siłą, jest słabością. Treść inną w tę formę wlać — a ożyje. Mówię to, bo sama nieraz grzeszyłam podobnie i grzeszę. A nie pomogło mi to nigdy nic, a zaszkodziło nieraz. Niema dla ducha większego omdlenia, jak kiedy rozpływa się sam nad sobą. Łzy nad sobą wylane nie poruszą ziemi ku planom przyszłości.

A teraz przesyłam pani uścisk dłoni z oddalenia przez tę przestrzeń, jaka nas dzieli, z bliska — przez to, co w umiłowaniu dobra jest nam wspólnem.

Marja Konopnicka.

„Goniec Wileński“.

Maryi Konopnickiej.

Rozdźwięczał się żałobny dzwon,
Przez pola i przez łany —
Uleciał duch, przed Boży tron,
Tak bliski, tak kochany...

Umilknął już tej pieśni dźwięk,
Co krzepi, wzmacnia ducha;
Co koi w nich boleści jęk,
Wyzwala z pęt łańcucha!

Przez całą Polskę biegnie wieść,
Po śnieżnych Tatrów szczyty...
Przez cały kraj mknie wzdłuż i wszerz,
Po morskich fal błękity...

Hen! Od szerokich niw i pól
Idzie ku niebu skarga —
Idzie serdeczny smutek, ból,
Co dusze nasze targa...

Wicher roznosi w dal Twój skon,
Płaczą za Tobą chaty —
Łka rzewnie Twej fujarki ton,
Jesienne łkają kwiaty...

Płacze za Tobą stary bór —
I w dali sine łany...
I liliowych dzwonków chór,
Mogiły i kurchany.

Szary za Tobą płacze tłum,
W płótniankach i siermiędze —
Wykołysany dźwiękiem dum,
Wpleciony w życia nędzę —

. . . .

Byłaś nam jasną zorzą o świcie,
Co lśni błękity . . . . . .
I wiodłaś pieśnią to ziemskie życie
Na wyżyn — szczyty! —

Byłaś nam jasnym życia Aniołem
Wiary... nadziei...
Gwiazdą nam błysłaś nad polskiem siołem,
W czarnej zawiei.....

Na sercach ludu — niby na złotej
Grywałaś harfie,
I malowałaś smutki, tęsknoty —
W swych pieśni szarfie...

Ty byłaś słonkiem dla serc drzemiących,
Pokrytych pleśnią;
Byłaś skarbnicą uczuć gorących —
Świtalną Pieśnią!

. . . .

. . . .

A Pieśń żyć będzie! — i budzić ludu
Serca jak — dzwony...

Polka.

Jak Czesi „nie dają się."

Czesi, wychodząc z założenia, że działalność ich wówczas tylko może być owocną, gdy przystosowana jest do warunków miejscowych i gdy należycie uwzględnia potrzeby danej ludności, powołali do życia organizacye, odrębne od poszczególnych dzielnic swego kraju, a specyalną opieką otaczają te okolice, gdzie ludność czeska znajduje się w mniejszości, ponieważ tam z natury rzeczy grozi największe niebezpieczeństwo wynarodowienia.

Organizacye te, zwane „Jednoty", posiadają dokładne spisy ludności czeskiej na kresach, adresy każdego Czecha, informacye o jego usposobieniu; adresy te służą już do korespondencyi, już do przesyłek książek lub broszur agitacyjnych.

„Jednota" stara się o zakładanie po wsiach szkół i ochronek czeskich, o osiedlanie czeskich rzemieślników i kupców, zakładanie bibliotek, urządzanie odczytów, pogadanek, teatrów amatorskich, wycieczek, zjazdów i uroczystości. Oprócz tego prowadzi statystykę osób, przenoszących się do Wiednia, ażeby stwierdzić, jaki jest dopływ żywiołów czeskich do stolicy państwa, którego ludność w trzeciej nieomal części jest czeska lub pochodzenia czeskiego. Największą wagę kładzie się na kupno ziemi i domów i śledzi się dokładnie, ile ziemi i domostw przybyło lub ubyło ludności czeskiej. Tym sposobem „Jednota" posiada dokładny obraz ruchu narodowego i poinformowaną jest dostatecznie o stanie rzeczy na kresach. „Jednota", uznając doniosłość, jaką w życiu narodowem odgrywa kobieta, zaleca, aby we wszystkich towarzystwach czeskich, o ile one mają podkład kulturalny i społeczny, wybierano do zarządu także kobiety, a gdzie można, zakładano towarzystwa żeńskie. Również opieka nad młodzieżą dorastającą ma być starannie zorganizowaną.

Morawska „Jednota" zestawiła także 24 przykazań narodowych, które rozpowszechnia masam w osobnej broszurze.

Oto ich treść:

Każdy Czech niech się stara mówić czysto po czesku, wystrzega się obcych wyrazów i zwrotów, szpecących piękny język czeski.

Czeskie dziecko powinno przestawać stale z dziećmi czeskiemi i zawsze mówić po czesku.

Rodzice lub starsi członkowie rodziny niechaj w wieku przedszkolnym uczą dzieci czytać i pisać po czesku.

Czeskie dziecko powinno uczęszczać do czeskiej szkoły.

Modlić się i śpiewać w kościele powinno dziecko czeskie po czesku.

Izba powinna być ozdobiona obrazami czeskimi, obok obrazów świętych mają wisieć na ścianie obrazy z dziejów czeskich.



Niewdzięczny zięć.

Dziecko czeskie powinno uczyć się przysłów czeskich, wierszyków czeskich, pieśni i gier narodowych.

Niechaj tradycye świąt czeskich ożyją w czeskich rodzinach. Pamiętną rocznicę historyi czeskiej niechaj przypomni ojciec lub starszy członek rodziny.

Podczas długich wieczorów zimowych niechaj rodzina czyta wspólnie dobre książki czeskie.

W każdym domu czeskim powinno być pismo czeskie.

Skarbem rodziny niechaj będzie biblioteczka składająca się z wyborowych dzieł literatury czeskiej.

Rodzina winna mówić wszędzie i poza domem śmiało po czesku. Czeska mowa niech dźwięczy na ulicy, w kramie, na drodze, w hotelu i wszędzie. Jeżeli się do kogoś zwracamy z zapytaniem, pytajmy najpierw po czesku. Rodzina niechaj utrzymuje stosunki z rodzinami czeskiemi.

Rodzina czeska niechaj korzysta z każdej sposobności, aby być na przedstawieniu, odczycie i uroczystości czeskiej.

Rodzina ma unikać wszystkiego, co przynosi uszczerbek dumie narodowej.

Według nakazu Palackiego niechaj kupuje wyroby czeskie i popiera swoich rodaków.

Rodzina niech chroni posiadaną ziemię, jako skarb najcenniejszy i spuściznę świętą po przodkach, i nie dopuszcza, aby przeszła w ręce cudze.

Rodzina ma wypełniać sumiennie obowiązki narodowe.

Oszczędności niechaj składa i kredytu szuka tylko w bankach czeskich.

Ojciec rodziny niechaj wypełnia swój obowiązek wyborczy.

Podczas spisu ludności niechaj wraz z rodziną zapisuje się jako Czech.

Ojciec, matka i starsi członkowie niechaj należą do towarzystw czeskich.

Niechaj nie uchylają się od składek na cele narodowe.

Renegatów czeskich, swoich członków, niechaj rodzina stara się pozyskać znowu dla ojczyzny.

Przykazania te czyniące zrozumiałym fakt skutecznego opierania się Czechów naporowi germanizmu, mogę i winny służyć za przykład dla wszystkich narodowości, uciskanych i broniących swego narodowego bytu.

* *

Wieś rosyjska.

Mienszikow w jednym z ostatnich feljetonów w „Now. Wremieni“ przytacza fakty, charakteryzujące obecny stan wsi rosyjskiej: „W ciągu jednego tylko święta w Truskim powiecie gubernii Peterburskiej pozabijano tylu ludzi, ilu pada niekiedy w prawdziwej bitwie. W powiecie Czerepowickim w jednej tylko gminie, w ciągu dwuch dni świąt „ułożono 12 trupów“, a „pokaleczonych i pobitych policzyć niepodobna“. I dzieje się to w mniejszym lub większym stopniu po całej Rosyi. A oto, jak opisuje pewien obserwator obecne święta na wsi rosyjskiej: „Wieczór. Literalnie cała wieś — pijana. Pijani są starzy, kobiety, dzieci, młodzież... Idzie gromada dzieci, wykrzykując możliwe przekleństwa. Za nimi idzie banda młodzieży. Każdy ma w ręku pałkę, a nóż za cholewą. Rywalizują ze sobą w umiejętności wymyślania. Nie upływa pięciu minut — rozlegają się krzyki i jęki: przyszła banda młodzieży ze wsi sąsiedniej i rozpoczęła się bójka...

Ukazała się niedawno książka b. ministra rolnictwa Jermołowa p. n. „Współczesna epidemia pożarów w Rosyi.“

Proszę zwrócić uwagę na ten wyraz „epidemia“. Prócz epidemii dżumy i cholery, prócz innych chorób zaraźliwych, po Rosyi hulają epidemie psychiczne. W gazetach ustawicznie widzimy rubryki: „Epidemia podpaleń“. „Epidemia rabunków“, „Epidemia świętokradztwa“. Oto wnioski do jakich dochodzi b. minister rolnictwa, głęboki obserwator wsi rosyjskiej:

„Podpalenia straciły charakter rewolucyjny, terorystyczny. Niemniej jednak pożary nietylko nie zmniejszyły się, ale przybrały niebywały dawniej charakter. Chłopi zaczęli palić nietylko już obywateli ziemskich, ale jedni drugich“.

W latach 1906—8, a więc już po rewolucyi, liczba pożarów w stosunku do lat 1900—4 wzrosła: w gub. Woroneskiej o 70 proc., w Rjazańskiej, o 87 proc., w Smoleńskiej o 120 proc., w Tambowskiej o 104 proc., w Orłowskiej o 144 proc. itd. Zdarzają się wsie, w których pożary wybuchają po 50 razy w ciągu jednego roku. Nowy rodzaj „terorystów wiejskich“, którzy przy podpalaniach używają środków „naukowych“, np. nabojów dynamitowych, rekrutuje się głównie z pośród młodzieży, która, według Jermołowa, pozbawiona jest obecnie wszelkich zasad moralnych. Podpalacze, według Jermołowa, są zupełnie bezkarni. Tymczasem pomimo bezkarności podpalaczów, armia katorżników w ostatnich czasach wzrosła z 10 do 30 tysięcy, ilość zaś więźniów z 85 do 175 tysięcy.

Do jakich rozmiarów wyrosłyby te cyfry, gdyby podpalacze nie uchodzili, jak to stwierdza Jermołow, zupełnie bezkarnie? Na te zjawiska współczesnego życia rosyjskiego Mienszikow zwrcca uwagę rządu.

Szkolnictwo polskie w Ameryce.

Nasi rodacy, mieszkający w Stanach Zjednoczonych, dzięki wyższemu niż u nas wykształceniu i nabytej tutaj inteligencyi, rozumieją dobrze doniosłość szkoły polskiej. Gdzie tylko organizuje się polska parafia, tam nieodmiennie powstaje zaraz i szkoła.

Szkoły polskie w Ameryce powstały staraniem duchowieństwa polskiego i pozostają dotychczas wyłącznie pod jego kierownictwem. Noszą przeto nazwę „parafialnych“, w przeciwieństwie do rządowych, które tam się nazywają „publiczne“ i są ściśle pozawyznaniowe.

Rząd stanów Zjednoczonych popiera wszelkimi sposobami cywilizacyę i oświatę, więc też nigdy żadnych nie czyni przeszkód w otwieraniu szkół lub nauczaniu. Wie o tem dobrze, że dając swobodę i wiedzę, tem samem zobowiązuje dla siebie mieszkańców.

Rok szkolny w polskich zakłaoach naukowych większych trwa 10 miesięcy: od września do czerwca. Są jednak małe szkółki parafialne, które funkcyonują tylko w czasie wakacyi; w tych to szkółkach dziatwa, kształcąca się w szkołach z językiem wykładowym angielskim, choć przez parę miesięcy uczy się ojczystej historyi, katechizmu i języka polskiego.

W czasie szkolnym nauka odbywa się każdego dnia w tygodniu z wyjątkiem soboty i niedzieli (te dwa dni przeznaczone są na wypoczynek), oraz ważniejszych świąt kościelnych i krajowych.



W podróży.

Rozkład godzin jest taki: O godz. 8-ej Msza św„ po której rozpaczyna się nauka i trwa do godz. 10-tej. Następnie po kwadransowej pausie lekcye przeciągają się do 11 i pół. Po południu od godz. 1-szej do 4-tej z kwadransową pauzą po 2 i pół.

Própram nauk odpowiada programom szkół publicznych z dodaniem religii, języka ojczystego i historyi polskiej.

Dziatwa polska uczy się, ogólnie mówiąc, dobrze, bo na porządku dziennym jest, że uczeń szkoły polskiej, o ile wstępuje do publicznej, zostaje przyjęty do klasy równoznacznej, albo co częściej się zdarza, dostaję promocyę do klasy wyższej.

A teraz o pojedyńczych szkołach słów parę.

Pierwsza szkoła polska powstała w r. 1886 staraniem ks. Bukanowskiego C. R. w mieście Panna Marya w stanie Texas. Druga w następnym roku przy parafii św. Stanisława w Milwaukee. Później z każdym rokiem, wraz z przybywaniem parafii, przybywało i szkół polskich, tak, że obecnie jest ich chyba do tysiąca.

Dzieci uczęszczających do szkół polskich więcej jest niż 100,000; zważywszy, że w samem np. Chicago w roku 1900 było już 15,000.

Na wyróżnienie zasługuje szkoła polska przy kościele św. Stanisława w Buffalo. Ogromny gmach tej szkoły z czerwonej cegły zbudowany, wykończony został w r. 1890 i mieści 2,800 dzieci; 28 sióstr Felicyanek i 5 nauczycieli świeckich zatrudnionych jest nauczaniem.

Dodać powinienem, że ks. Jan Pitass, założyciel tej szkoły, należy do najwybitniejszych księży polskich w Ameryce. Urodził się ten kapłan w 1884 roku w Niemieckich Piekarniach na Górnym Śląsku. Kształcił się w Raciborzu, następnie w Rzymie odbył studya teologiczne i wyjechawszy do Ameryki w r. 1878 z rąk biskupa Bujfalowskiego otrzymał święcenia kapłańskie. Nazajutrz (8 czerwca) w dzień św. Trójcy odprawił prymicyę w niemieckim kościele katolickim i tegoż dnia po południu zebrali się u niego zamieszkali w Buffalo Polacy i pod przewodnictwem młodgo kapłana zorganizowana została w tem mieście pierwsza parafia polska.

W rok potem staraniem ks. Jana Pitassa stał już pierwszy polski kościół; pod tym samym dachem mieściła się szkoła i plebania. Parafia św. Stanisława wzrastała szybko: z kilkudziesięciu rodzin przy zakładaniu parafii w rok potem było już kilkaset. I wkrótce tak się zwiększyła liczba wiernych, że wybudowano nowy piękny, z wysoką wieżą kościół, w stylu romańskim. Poświęcenie świątyni odbyło się w r. 1886.

Kościół ten, jak i niektóre inne amerykańskie, podzielony jest na dwa piętra. Kościół dolny i nad nim górny. Ćwierćwiekowa praca dla rodaków, kościół i szkoła, dają prawo zasłużonemu kapłanowi temu nosić słusznie miano patryarchy polonii w Buffalo i okolicy.

Oprócz parafialnych szkół polskich, w dziedzinie oświaty wysoce zasłużone są zakony męskie i żeńskie. Więc Zmartwychwstańcy, Franciszkanie, Jezuici i inne. Ale najwięeej szkół polskich jest w ręku sióstr zakonnych. Najstarszemi są siostry Opatrzności Boskiej z 1872 r. Mają około 60 szkół. Dalej siostry Notre-Dame'ki mają więcej, jak 16 szkół; uczą około 10,000 dzieci. Siostry Nazaretanki, Zmartwychwstanki, szkolne św. Józefa i Felicyanki, wszystkie te zakony ogromne kładą zasługi dla społeczeństwa polskiego.

W czasie swego pobytu w Ameryce zwiedziłem kilka takich szkół zakonnych, ale niezatarte wrażenie zostawił mi dom prowincyonalny i szkoła Felicyanek w Cheektowaga pod Buffalo. Zakład ten zbudowany na 10 akrach ziemi, posiada gmach, w którym przemieszkuje 489 sióstr, matka prowincyonalna i 270 dzieci (chłopców 140 dziewcząt 130). Siostry mają dużą kaplicę, obszerny chór; sale dla dziatwy niezmiernie wygodne, z wszelkiem uwzględnieniem zasad hygieny i kultury.

Kiedy zwiedzając zakład, wszedłem do sali, gdzie była zebrana dziatwa, doznałem nieopisanego wrażenia. Sierotki stanęły w półkole i śpiewały. A pieśń „Cześć ci ziemia Polska, cześć ojczyzno miła" głęboko wryła się mi w serce. Hen! tak daleko za morzami, za lądami dzieci te po większej części, nie mające rodziców, zginęłyby dla kraju, a może i dla Boga, ale zesłała im Opatrzność siostry Felicyanki, które ich żywią, ubierają, kształcą i utrzymują w ich serduszkach miłość dla wiary ojców ich i ziemi polskiej.

Kapelanem przy tym klasztorze jest zasłużony ksiądz prałat kapituły warszawskiej Walenty Świnarski. Staruszek już bardzo podeszły w leciech, bo liczący lat 78; jeszcze w r. 1904 obchodził złoty jubileusz kapłaństwa.

Siostry Felicyanki dzielą się na trzy prowincye: Detroit, Milwaukee i Buffalo. W r. 1901 miały 5 zakładów i ochronek a 39 szkół polskich; dziś liczba ich jest znacznie większa.

Wyższych szkół Polacy w Ameryce posiadają niewiele; Akademia Nazaretanek i kolegium św. Stanisława w Chicago, wyższa szkoła OO. Reformatów w Pułaski, także szkoła w Milwaukee



Dwie siostry.

i Shamokin, nakoniec wielkie polskie seminaryum. O innych wyższych szkołach nie słyszałem.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje seminaryum polskie w Detroit. Jeszcze w r. 1870 kardynał Ledóchowski, mieszkający w Rzymie, proszony ciągle przez biskupów amerykańskich o księży polskich, podał myśl założenia polskiego seminaryum duchownego w Ameryce. Składką w tym celu zajął się ks. L. Moczygęba, nie czując się jednak na siłach z powodu podeszłego wieku przeprowadzenie tego zamiaru do skutku złożył w ręce ks. Józefa Dąbrowskiego, który w r. 1887 gmach seminaryum wykończył i zaczął kształcić alumnów.

Liczba uczniów zwiększała się rok-rocznie: w 1888 było 35 zaledwie, w 5 lat potem było już 105, a w r. 1908 — 153; obecnie liczba ich wynosi 330—80 kleryków i 250 uczniów, którzy albo przechodzą na kursy teologiczne, albo się przenoszą do uniwersytetów państwowych.

Dawniej seminaryum znajdowało się w mieście Detroit. W r. 1909 nowy rektor ks. Buhaczkowski kupił koszary oficerskie w Ovchavd Lake, położone o parę mil angielskich od Detroit a zią-

czone z niem koleją parową i elektryczną i do tego miasta przeniósł seminaryum.

Dziś ma ono niesłychanie wygodne pomieszczenie i bardzo zdrowotną okolicę. Dziewięć murowanych budynków rozrzuconych wśród lasu nad brzegiem jeziora, własną elektryczność, urząd pocztowy, wodociągi automobile, żaglowce i place do gry w piłkę — słowem wszelkie wygody. Każdy budynek ma inne przeznaczenie: w jednym jadalnia, w drugim sale rekreacyjne, w innym szkoła i kaplica, dalej sypialnie, mieszkania dla profesorów, gości itd.

Ks. M. Pasławski z Kamieńca Pod.

* * * * * * * * * * * * * * * * * * * *

Kinematograf a Jasna Góra.

Dramat, który wstrząsnął Jasną Górę i bolesnem echem odbił się w całym kraju, nabrał w ostatecznej fazie cechy wszechświatowego skandalu, wyzyskanego w sposób nowoczesny przez... kinematograf.

Przedsiębiorcza firma francuska, wietrząca na całym obszarze globu wszystko, coby się dało wyzyskać dla sensacyi widowisk kinematograficzych, ze skwapliwością uchwyciła się zbrodni na Jasnej Górze — i oto szerokie masy publiczności mniej wybrednej, odwiedzającej tłumnie teatrzyki kinematograficzne, mogą od kilku dni napawać swoje oczy widokiem sensacyjnie bezsensownych scen z życia klasztoru Jasnogórskiego.

Oczywiście, że kinematograf, bijący na słabe struny swoich niewybrednych gości postarał się przedstawić życie mnichów w barwach iście wołających o pomstę do nieba. Nic to, że OO. Paulini, popełniający wszystkie ciężkie zbrodnie, przedstawieni są w brodach asyryjskich i zakrawają prędzej na typy bandytów włoskich, niż odzianych w biały habit mnichów, że akcya odbywa się gdzieś w górach i biorą w niej udział... nieodłączni stójkowi francuscy. Pozbawiona zmysłu krytycznego publiczność widowisk kinematograficznych bierze wszystko za dobrą monetę i „oryginalne zdjęcia“ cieszą się dużem powodzeniem, jak wszystko to, co porusza i łechce niskie instynkty tłumów.

Trzeba przyznać, że kinematograf jest mocną bronią w rękach ludzkich. W rękach ludzi kulturalnych jest on potężnem narzędziem szerzenia wśród mas światła i postępów nauki i jako taki jest olbrzymim środkiem dydaktycznym, mogący podnieść stan kulturalny grzęznących w ciemnocie i przesądach mas prostego ludu.

Gdy natomiast dostają się w brudne ręce nieliczących się z wymogami kultury przedsiębiorców, którym chodzi jedynie o ściągnięcie do budy kinematograficznej największej ilości tłumów, służy wtedy interesom niezdrowej sensacyi, a często, jak w danym wypadku, przesadzając poza granice możliwości i prawdy szerzy w widzach nie szlachetne oburzenie lecz bezkrytyczną i ślepą nienawiść w stosunku do rzeczy, które należy traktować bardzo oględnie. *Edm.*

Życie kobiet na Saharze.

W bardzo zajmujących i barwnych obrazach przedstawia Jan Vischer, angielski dyrektor zakładów wychowawczych w Nord-Nigeria, swój pochód przez pustynie Afryki północnej. Londyński „Royal Gegraplücal Society“ udzielił mu również nagrodę za jego podróże naukowe. Nadzwyczaj zajmującymi są przykłady o wielkim wpływie, jaki wywierają kobiety na szczepy zamieszkujące pustynie. Opowiada o nich powyższy angielski urzędnik kolonialny w dziele „Przez Saharę z Tripolisu do Bornu“. W pochodzie karawanowym Vischera brała udział także stara kobieta imieniem Fatima, której odwaga była znaną w całej okolicy. Prawie z zabobonną obawą patrzyli mężczyźni na staruszkę, zachowującą się niejednokrotnie, jak stara czarownica. „W chwili, gdy wznosiła swą długą laskę ponad głowami swego otoczenia, wyglądała jak majestat fantastyczny.

Nawet mężczyźni, roztropniejsi, niż popędzacze wielbłądów, odczuwali dreszcz trwogi na widok tej wysokiej, chudej postaci, obdarzonej wymową ognistą i dziką. Inną kobietę, która swym wpływem na otoczenie uratowała życie podróżnikowi angielskiemu była Hauwa. Kobieta olbrzymiej postaci ze szczepu Bagirmi, której przypisywano dar przepowiadania. Zapadała w kurcze histeryczne, a potem wróżyła. Vischer skonstatował, że po dobrem wynagrodzeniu herbatą i cukrem przepowiednie przyszłości stawały się przyjaźniejszemi i bardziej korzystnemi — W czasie podróży sprzysięgli się przewodnicy i tuaregowie na życie Vischera. W obozie panował nerwowy niepokój. Każdy przeczuwał za



ARAB.

miary sprzysiężonych, nie wiedząc, w jaki sposób usunąć katastrofę. „Wtedy wystąpiła Hauwa, wielka prorokini, a duch ją oświecił. Nawet zdradziecki przewodnik drżał z przestrachu przed dzikim, przeraźliwym krzykiem kobiety opętanej. Przyjaciele zbiegli się, by ją trzymać. Ale dopiero całej hordzie udało się przemódz kobietę-olbrzyma. — Zawleczono ją do namiotu. Ale głos jej było słychać nieustannie. W końcu zawołano mię, twierdząc, że dyabeł mnie wzywa. Zobaczyłem ją leżącą na ziemi. Oczy poruszały się bez przerwy, a piana wystąpiła na usta. Wyła, jak wściekły kot. Około dziesięciu mężczyzn, i kobiet trzymało ją za ręce i nogi. Zobaczywszy mię, zaczęła jeszcze głośniej ryczeć, a potem się odezwała do mnie słowy: „Ty jesteś chrześcianinem, jesteś sługą Bożym, nikt nie może uczynić ci krzywdy. Nie jedz niczego, co podadzą ci tubbusowie, a broni nie wypuszczaj z ręki". Proroctwo odniosło skutek pożądany. Z nadejściem wieczoru znikły już wszelkie myśli zdradzieckie. W obozie panowała wesołość i urządzono wielką ucztę. Jest rzeczą jasną, że nie zapomniałem posłać Hauwie podarunku z większej ilości herbaty i cukru".

Przyjemność w prowadzeniu wolnego życia na pustyni przerywała nieraz podróżnikowi konieczność utrzymania karności wśród licznego otoczenia. Szczególniej kobiety żyły w niezgodzie. Murzynki i Arabki nienawidziły się śmiertelnie. Niejednokrotnie musiał Vischer z narażeniem życia czynić próby pojednawcze, aby przeszkodzić rozlewowi krwi. Wybierając się w podróż, ciągnącą się 1400 mil angielskich przez pustynie, nie miał nawet pojęcia o dzikim temperamencie swych

„kobiet czarnych“. „W chwilach rozdrażnienia nie dały się niczem nakłonić do zaniechania kłótni. Adiza i Hauwa, Amłna, Fatima i Gombo były często podrażnionemi. Prawie codziennie przychodziło między czarnemi siostrami do bójek i do prawidłowych walk. Żaden pochód nie był tak nużącym, ani żadna droga tak uciążliwą. Z chwilą dotarcia do obozu kobiety były gotowe do walki. Mężczyźni dostarczali patyków. Starali się wybierać dość grube, filozofując, że „to chłodzi krew kobiet“. Potem słyszano wśród ciszy nocnej na pustyni krzyki kobiet, które nabierając coraz więcej wściekłości, rozpoczynały bójkę „chłodzącą krew“. Dnia następnego znikał gniew i śmiejąc się, roztrząsano w najlepszej zgodzie szczegóły walki. Te ostatnie dostarczały tematu na cały dzień. Jest rzeczą charakterystyczną, że murzyn w końcu traktuje wszystko w sposób humorystyczny i to właśnie czyni go przyjemnym towarzyszem podróży, pomimo jego błędów. Widziałem starych mężczyzn, którzy z śmiechu obejmowali szyje koni, a nawet i spadali z wielbłądów, a wszystko to z powodu dowcipu, słyszanego już jakich dwadzieścia razy“.

Gdy Vischer w czasie podróży zastąpił arabskich popędzaczy wielbłądów tubbusami, musiały kobiety, znajdujące się w karawanie, iść piechotą. Tubbusowie wierzyli, że jest nieszczęściem dla wielbłąda, jeżeli niesie kobietę. Ale to nie robiło trudności czarnym kobietom. Wielbłądy były pomęczone po marszu dziennym, a czarne kobiety, rzeźkie i gotowe do bójki, jak zazwyczaj. Największe bójki odbywały się przeważnie po najbardziej wytężających pochodach. Szczególniejsze stanowisko ma kobieta u tuaregów; w tym szczepie mężczyzna jest podwładnym i na mocy ustawy musi słuchać kobiety. Prawo macierzyńskie staje się zapatrywaniem prawnem. Kobieta pokazuje dumnie oblicze, podczas gdy mężczyzna musi je zasłaniać welonem. Biednym tuaregom dzieje się nie najlepiej, ponieważ ich kobiety są władczyniami groźnemi i nie obdarzają swych podwładnych męzkich ani chwilą spokoju, ani wolnością. Kobieta jest właścicielką wszelkich posiadłości. Ona też nakazuje urządzać wyprawy rozbójnicze albo decyduje, kiedy szczep ma się udać w dalszą drogę.

Warunek bezpieczeństwa.

Ten może deptać węże głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

ELEGANT.

Ogromny sklep. Magazyn ubiorów gotowych. W wystawie eleganci z wosku. Garnitury po kilka marek. Bardzo tanio! Wchodzę. Po chwili mam na sobie elegancki granatowy, marynarkowy garnitur z fałdami z tyłu. Tak każe moda. Woreczek mój ubogi uszczuplił się o trzy złote monety.

Mam pecha! Lunął deszcz. Gdy ubranie obeschło, uczułem, że mi w niem jakoś ciasno. Nazajutrz było słońce. Barwa ubrania z granatowego wpadła w odcień rudawy, jak broda właściciela magazynu gotowych ubrań. O nieba! Po kilku dniach pewna część garnituru bardziej się skurczyła i... pękła w miejscu najmniej dozwolonem. Od marynarki odleciały guziki bom się dopiąć nie mógł. Utyłem niezawodnie. Koledzy mówią mi jednak, że schudłem. O tak, schudłem ze zmartwienia. Musiałem się więc wpakować w stare ubranie, które już przeznaczyłem dla pomocnika stróża.

Poczciwa stróżka zaszyła mi pęknięcie na granatach. Zawołałem handlarza.

— Ny, co to za garnitur? To flak. To stary przenicowany ancug na bawełniane nowe podszewkie. Nawet na czapki nie warte. Może pan ma stare kamasze, a może kapelusz albo kalosze. A za te łachy mogę panu dać dwa złote.

Co dalej było, wstyd mi powiedzieć.

* * *

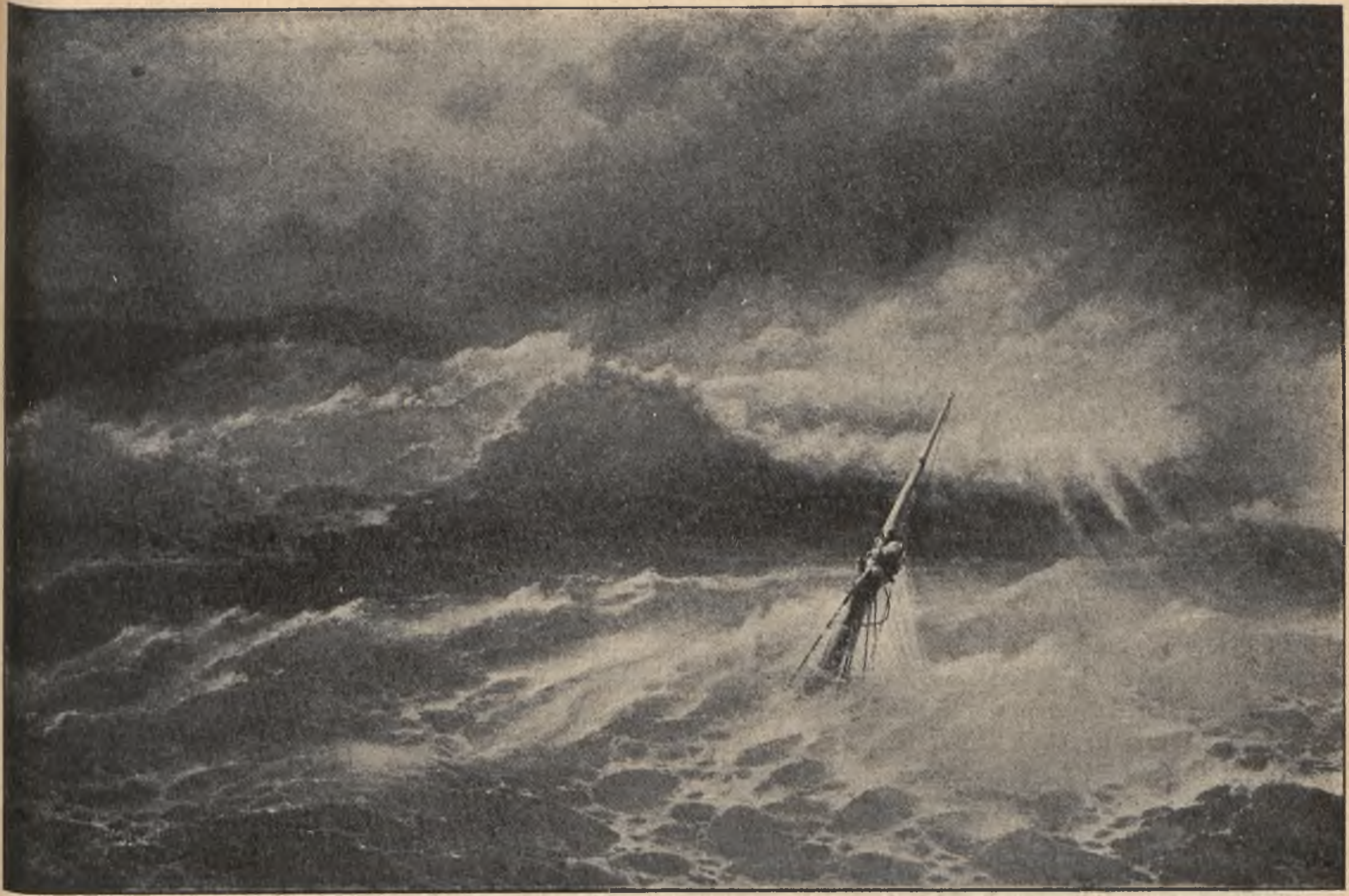
Zaopatrzony w rekomendacyę kolegi, poszedłem do p. Kraciaka, krawca cechowego. Wybrałem materyał.

Zmierzono mnie wzdłuż i wszerz. Kazanu przyjść za tydzień do przymiarki. Garnitur zgodziłem za 60 mk., płatne w sześciu ratach miesięcznych.

Chodzę już w garniturze całe lato wzbudzając w płci pięknej szał.

I leży doskonale i nie kurczy się i nie rudzieje. Z zasady nie noszę parasola czasami tylko trzymam parasolkę nad nadobną towarzyszką. Ani aura, ani flora kortom mym nie szkodzi.

Oh już nigdy nie pójdę do magazynu ubrań gotowych z woskowymi elegantami na wystawie i rudobrodymi kupcami w środku.



Okręt w otchłani.

Anglik o miastach polskich.

Wybitny dziennikarz angielski, p. F. R. Eeles, pomieścił w „The Yorkshire Weekly Post“ artykuł, dotyczący wrażeń, zebranych w Warszawie, Łodzi i Krakowie. Szczególniej Kraków wywarł na nim ogromne wrażenie. Oto, co pisze:

„Krakowem rzadko zajmują się myśli współczesnego Anglika. O Krakowie bardzo rzadko w dzisiejszych pismach znaleźć można jakąkolwiek wzmiankę. Miasto to zaznaczone jest w naszych książkach informacyjnych, jako politycznie i handlowo ważne w XVI stuleciu, kiedy Kraków był główną furtą, przez którą przechodziły drogi handlowe na wschód. To też Kraków wyobrażamy sobie, jeżeli wogóle na myśl nam przychodzi, jako zmarłą spuściznę średniowiecza, której życie zakończyło się z chwilą, kiedy pierwszy obieralny król polski przeniósł się z dworem o kilkaset mil w dół Wisły — do Warszawy.

„Zupełnie wszakże innego wrażenia doznaje się po zwiedzeniu Krakowa. Główne ulice tego miasta są szerokie, dobrze zabrukowane i natłoczone po największej części dobrze ubraną publicznością. Wykwintne hotele, restauracye i cukiernie, tramwaje elektryczne, wspaniałe sklepy, piękne planty, imponujące gmachy, krótko mówiąc, wszystko świadczy o wielkiej doskonałości zarządu miejskiego i o szybkich postępach rozwoju miasta, jakiemi miasta niemieckie się odznaczają. Kraków przecież miastem niemieckiem bynajmniej nie jest. Nie utracił on wcale cech starożytności.

„Widnieje owa starożytność w kościołach, przemawia z każdej wnęki starej katedry, z jej pięćdziesięciu ołtarzami, z niezliczoną ilością kapliczek; z grobowców królów i bohaterów polskich. O wysokiej i starożytnej kulturze Krakowa świadczy choćby wspaniały pomnik starożytej architektury Biblioteka Jagiellońska z kolumnadą gotycką, biblioteką, obejmującą około czterdziestu

tysięcy tomów i sześciu tysiącami rzadkich rękopisów.

„Środek rynku zajmują odnowione i odświeżone niedowno Sukiennice, piękny budynek, przypominający Florencyę i Samarkandę.

„Z wielkiem zdumieniem widzi się to wszystko po odbyciu podróży po Królestwie Polskiem, gdzie zarząd administracyjny jest kulturalnie zacofany. Z wyjątkiem Warszawy, niema miasta w Królestwie Polskiem ze współczesnemi urządzeniami kanalizacyjnemi. Nawet Łódź z jej olbrzymią liczbą mieszkańców niema wodociągów; oprócz Warszawy bruki wszędzie są okropne, ulice brudne. Ten opłakany stan zewnętrzy miast w Królestwie Polskiem, mimo olbrzymiego w nich ruchu handlowego, przypisują Polacy tamtejszym stosunkom politycznym. Anglik uważał to za twierdzenie naciągane i zaniedbanie.

Dopiero w Krakowie przekonał się, jak mylnem było jego mniemanie. Mając w Galicyi ręce rozwiązane, uczynili z Krakowa miasto wysoce kulturalne, świadczące o wielkim rozwoju wiedzy i sztuki. Dumą napełnia Polaków fakt, że uniwrrsytet krakowski jest po uniwersyteci w Pradze najstarszym w Europie środkowej. Turystom przy zwiedzaniu nowego gmachu uniwersytetu pokazują opieczętowane pergaminy, zawierające uznanie przez wszystkie uniwersytety nie wyłączając oksfordzkiego, starożytnych praw uniwersytetu krakowskiego.

Żelazo i jego użyteczność.

Żelazo jest najpożyteczniejszym ze wszystkich kruszców. Znajduje się w niektórych górach w wielkiej ilości, ale nie w stanie czystym, lecz jako ruda żelazna. Ruda żelazna, wydobyta z ziemi, jest to mieszanina żelaza z wapnem, gliną albo siarką. Topi się w ogromnych piecach i oczyszcza z materyi, z któremi jest pomieszana. Wytopione żelazo zowie się lanem. Żelazo lane kuje się w młotkarni i przerabia na żelazo kute czyli sztabowe. Chcąc kuć żelazo, trzeba je pierwej rozpalić, ponieważ wtedy da się kuć i ciągnąć. Z pomiędzy wszystkich metali najwięcej rozpowszechnionym i najużyteczniejszym metalem jest żelazo. Wyobraźmy sobie człowieka w najrozmaitszych życia stosunkach, od wyrobnika do panującego, czy on jest wieśniakiem, czy rzemieślnikiem lub artystą, czy myśliwym, czy wojownikiem, czy uczonym, czy bogatym, czy też ubogim pastuszkiem, zawsze potrzebuje on żelaza. Z żelaza wieśniak ma pług, sierp i kosę, z żelaza posiadają rzemieślnicy narzędzia, począwszy od ciężkiego kowalskiego młota a skończywszy na delikatnej igle krawieckiej, z żelaza kuje się różnego gatunku broń, z żelaza nareszcie budują najrozmaitsze machiny, mosty, dachy, pałace a nawet okręty. Żelazo, znajdujące się w ziemi i wodzie, przechodzi w rośliny. Rośliny służą ludziom i zwierzętom za pożywienie. W ten sposób więc dostaje się do ciał tych stworzeń. Wszelka krew, czy to ludzka, czy zwierzęca, zawiera w sobie żelazo. Bez niego istniećby ona nie mogła.

Żelazo w stanie czystym, rodzimym, znajduje się bardzo rzadko. Zwykle, jak już powiedzieliśmy, napotykamy rudę, np. błyszcz żelaza, żelazo brunatne, łuskowiec, magnesowiec, iskrzyk żelaza itp. Piece, w których te rudy topią, nazywają się mnichami. Z żelaza przez przetopienie w mnichach otrzymanego wyrabiają surowiec, czyli żelazo lite, żelazo kute czyli sztabowe i stal. Te trzy rodzaje wyrobu żelaza mają różne własności, a stosownie do tego i odmienny użytek w społeczeństwie. Surowiec, jako kruchy i łatwo topić się dający, daje się lać w rozmaite kształty. Żelazo kute albo kowalskie jest twarde i trudno się topi, ale za to łatwo obrabia i spaja, płaszczy w cienkie blachy i wyciąga w cienkie druty. Stal jako najtwardsza daje nam też wyroby najmocniejsze i najtrwalsze. Nareszcie i rdza żelaza rozpuszczona służy nam jako niedokwas wodny żelaza za najlepszy środek przeciw otruciom powstałym wskutek użycia arszeniku. Z tego widzimy, że użycie żelaza, rozpowszechnione jest do największych rozmiarów w społeczeństwie ludzkiem, a tem samem, że żelazo jest metalem dla ludzkości najużyteczniejszym i najważniejszym.

Poddawanie myśli. (Suggestya).

Poddawanie myśli, czyli suggestya, odgrywa wielką rolę w życiu ludzi. Poddają nam myśli, czyli suggestyonują nas, ludzie wyróżniający się silnie rozwiniętą energią, ludzie czynu i silnej woli; następnie książki, gazety, niektóre wydawnictwa i utwory.

Poddawaniem myśli przeprowadzonem umiejętnie, można nieznacznie skłonić kogoś, zanim się spostrzeże, do wykonania jakiegoś czynu, dobrego lub złego, a łatwiej to przychodzi, jeżeli poddaje się myśl człowiekowi o słabo rozwiniętej indywidualności, nie mającemu wyrobionego własnego zapatrywania się na rzeczy.

Jeżeli przestajemy z ludźmi uczciwymi, ludźmi czynów dobrych, przynoszącymi pożytek społeczeństwu i poddajemy się ich wpływowi, jeżeli

czytamy pożyteczne i owiane szlachetnemi myślami książki, uczciwe wydawnictwa, możemy być pewni, że poddawanie myśli, jakie stąd wpływa, przyniesie nam pożytek.

Poddawanie myśli, suggestyę, czyli inaczej wymawianie nieznaczne lecz skuteczne, spotykamy na każdym kroku, w wychowaniu, w obcowaniu towarzyskiem, w handlu, w podawaniu różnych ocen i sądów o każdej rzeczy. Należy wyrabiać w sobie silną wolę, samodzielność, własny sąd, trzeźwe zapatrywanie się na świat, ażeby nie podlegać poddawaniom myśli czyli suggestyom, działającym na nas ze szkodą. *Władysław Karoli.*

Łamigłówki do nagrody.

Przez „m“ to po ogrodach macie
Przez „l“ do listów używacie
Przez „h“ do ognia potrzebują
Przez „r“ we wodach się znajdują
Przez „s“ rybacy używają
Przez „ż“ do szkoły uczęszczają.

Rozwiązania łamigłówki prosimy nadsyłać najpóźniej do 10. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 47.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonych w nr. 42.:

Za—gad—ka.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Teofila Bieniedzka, Franciszek Bieliński, Felicya Brachlówna, Konstanty Cag, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Wł. Dubaj, Emilia Franz, W. Hyla, Jan Inglot, Stanisław Karaś, Otylia Kostańska, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Jan Łaszczek, Brunon Marcinkowski, Wanda Medveczky, W. Nowosielecki, Karol Pacuła, Paweł Pajdo, Józef Poncza, Antoni Popiel, Bolesław Popiel, Bolesław Rozwadowski, Celestyn Schöffer, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szmater, Stanisław Szostak, Em. Tatarówna, Marek Tutak, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Zofia Adamczewska, Gabryela, Stanisława i Kazimierz Balcerscy, M. Bembnista, Borys, Franciszek Ciałoń, Mieczysław Cieszyński, Halina Czyżewska, Stefania Dużyńska, Franciszek Dyllong, Anna Hofman, Janina Idźkowska, Janek z pod Góry Przemysława, Mieczysława Jarmuż, Józef Kelner, Karol Kołodziejczyk, Alfons Konopiński, Stanisław Markowiak, J. Nalaskowska, Izabela Pągowska, Hieronim Piechocki, Stanisław Pietrzak, Julia Płoszyńska, Tadeusz Przybyszewski, Zofia Stachowska, O. Tylochowa, W. Tyrakowska, Marya Zgaińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Pelagia Dłużewska z Rumelsburg (pod Berlinem), Hieronim Jaworowski z Drezna, Helena Musielak z Brukhausen (nad Renem), Władysław Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium.

Nagrodę otrzymali:

pp. Julia Płoszyńska, z Mogilna, Izabela Pągowska z Vandsburg (Prusy Zach.), Franciszek Biliński z Żabia (Galicya), Anna Wełnianka z Zakopanego.

Reklamy.

Kaszlącym zwracamy uwagę na ogłoszenie o *Thymomel Scillae*, przez lekarzy zapisywany i bardzo skuteczny preparat.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 45

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Licho wie, co plotą. Żeś pozowała Radliczowi. Jak Andrzej wróci, może być skandal.

Wzdrygnęła się ze wstrętem, spojrzała z bezmiernem obrzydzeniem po ludziach, zapełniających ulicę, po tej czarnej fali, spieszącej, zda się, zajętej, zaabsorbowanej, zapracowanej i rzekła:

— Niby mrowisko, a to tylko chmary żuków, szukających nawozu — dla biesiady! Czyż oni, doprawdy, nie mają własnych uciech i trosk, zajęć i celu wyższego. Ohydne!

Wzdrygnęła się raz jeszcze. Weszli w bramę lecznicy, zatrzymała się u drzwi schodów.

— Tatusiu, polecam wam ojca — szepnęła smutno.

Szpanowski rozmawiał z doktorem Downarem w pokoju, poprzedzającym sypialnię chorej. Został z nimi Sanicki. Kazia weszła do macochy.

— A jesteś przecie. Myślałam, że już cię nie zobaczę! — powitała ją grymaśnie chora.

— Zajrzałam na chwilę do domu, i jestem na usługi. Jakże pani tu się czuje, bardzo droga zmęczyła! — odpowiedziała Kazia troskliwie.

— Pani, pani — zamruczała Szpanowska. — Jeśli nie z serca, to dla oka ludzkiego mogłabyś mnie matką nazywać! Ale ty teraz wielka pani ja na twojej łasce! Ach Boże! Cóż doktor mówi — źle ze mną?

— Nic nie mówi, żeby źle było. Niech się matka nie trwoży. Pojutrze będzie konsylium, może po paru tygodniach wróci matka zdrowa do domu! Ja tu będę prawie ciągle. Bonę dla Zosi już mam, jutro ją wyprawię do Górowa! Nie trzeba się niepokoić, wszystko dobrze będzie.

— Jakaż ta bona? Masz jej świadectwa? Niech do mnie przyjdzie. Muszę ją widzieć.

— Będzie tu wieczorem. Świadectwa przyniosłam.

— Biedna Zosieńka! Biedny aniołeczek! Ach! mój Boże! za co mnie tak karzesz?

Zaczęła przeglądać świadectwa. Kazia krzątała się po pokoju; wszedł Szpanowski z Downarem.

— Ach doktorze! Kiedy wy mnie ztąd uwolnicie. Dziecko tam samo zostało! Ja nie mogę tu długo pozostać! Możeby dziś konsylium! Niech wiem, co mnie czeka! Muszę wracać do domu!

— Dziś nawet ja pani nie będę egzaminował. Trzeba do jutra po podróży wypocząć. Pojutrze będzie nas trzech: kolega Morawski, Raps i ja. Wtedy zdecydujemy kuracyę. Ale niech szanowna pani nie liczy na tygodnie, ale na miesiące. Do tego przygotowuję z góry.

— Miesiące! Ja nie chcę! Mówiliście w Górowie, że to potrwa może dziesięć dni. Dłużej nie zostanę.

— Mamy zatem dziesięć dni, więc dziś nie mamy o co się spierać. Przedewszystkiem spokój! Zaraz tu przyjdzie siostra Klara, której panią polecę w opiekę, żeby się pani nie nudziło.

— Siostra Klara? Dozorczyni? Kaziu, obiecałaś ty tu zostać!

— I zostanę, matko! — spojrzała pytająco na Downara.

— Pani Sanicka zostanie, o ile będzie mogła! — odparł spokojnie. — A siostra Klara będzie stale.

— Szpital! Śmierć — jęknęła chora.

— Ależ, moja droga — wtrącił Szpanowski — będziemy bezustannie nad tobą czuwać. Nie irytuj się!

— Ale ty odjedziesz pojutrze, a ona wpadnie z łaski swojej na godzinę dziennie! Wywieźliście mnie tutaj, żeby się pozbyć kłopotu! O, ja was rozumiem! Zarżnijcie mnie prędzej!

— Kaziu! — rozległ się z za drzwi głos prezesa.

Wyszła. Słyszał wszystko, czerwony był z gniewu.

— Ja cię tu pięć minut więcej nie zostawię! Chodź!

— Nie, tatusiu! Zostanę do piątej, przyjdę na obiad. Proszę sobie iść i nie słuchać! Piętnaście lat byłam w takich warunkach w Górowie!

— Byłaś, ale nie będziesz!

Odprowadziła go w najdalszy kąt pokoju i rzekła:

— Mówił ojciec z doktorem Downarem? Wie ojciec, że dla niej niema wyzdrowienia. Chyba cud! Żyć będzie może ledwie tygodnie, a ja może długie lata. Proszę mnie tu zostawić. Jej dogodzę, a sama przejdę bardzo dla mnie na przyszłe lata użyteczną szkołę cierpliwości i znoszenia spokojnie prześladowania!

Pocałowała go i pozostawiła zakłopotanego.

Zrozumiał, do czego czyniła aluzyę, i posępnie zamyślony poszedł do domu.

Po chwili wyszedł też z lecznicy doktór Downar i ruszył również ku domowi.

Wyjechał był przed czterema dniami, i chociaż wrócił rano, dzień cały spędził na mieście, nie kwapiąc się do rodzinnego ogniska, i teraz się nie kwapił, myśląc w dalszym ciągu o jutrzejszych zajęciach, wizytach, interesach, których się zapas nagromadził przez ciąg jego nieobecności.

Szedł zamyślony, nareszcie się obejrzał i spostrzegł, że zamiast na Marszałkowskiej, był na Smolnej.

Zamruczał coś, stanął, i skręcił w bramę. Stróż mu się ukłonił.

— Stara jest na górze? — spytał.

— Jest, proszą pana, ale tu onegdaj jakaś pani pytała o pana.

— No i co?

— Ano nic — powiedziałem, że pan tu nie mieszka, ale bywa — i poszła sobie.

— Jakaż to pani?

— Taka chuda, z dużym nosem.

— W czarnej rotundzie?

— Tak, tak!

Downar nic więcej nie rzekł, i wszedł na wschody.

— Wściekła się, czy co? — zamruczał do siebie, otwierając kluczem zatrzask w drzwiach na pierwszem piętrze. Wszedł do ciemnego przedpokoju, zatrzasnął drzwi.

Po kwadransie wyszedł z powrotem na ulicę, zawołał na dorożkę i kazał się wieść do domu. Miał minę jeszcze bardziej zamyśloną, jak przedtem.

Zadzwonił i rzekł do lokaja:

— Światło do gabinetu.

Rozebrał się powoli, nasłuchując ostry, krzykliwy głos kobiecy, rozlegający się w głębi mieszkania, w sporze z kucharką widocznie.

Wszedł do swego gabinetu, gdzie tymczasem lokaj zapalił lampę i usiadł do biura, na którem piętrzył się stos listów zaległych z czterech dni. Zaledwie odczytał pierwszy, krzykliwy głos zbliżył się do drzwi, bezustannie burcząc na służbę, i do pokoju weszła kapłanka domowego ogniska.

— Cóż to, nie raczysz się ze mną nawet przywitać! — zaskrzeczała od progu.

— Dobry wieczór! — rzekł flegmatycznie Downar. — Słyszałem, że masz jakąś scenę z Franciszką, nie chciałem przerywać. Mam, jak widzisz, masę zaległej roboty.

— Kiedyś wrócił? — spytała tonem sędziego śledczego.

— Dziś.

— Cztery dni byłeś tam. Dali ci tysiąc rubli?

— Przywieźliśmy chorą do lecznicy.

— To inny interes, ale za te cztery dni ileś dostał?

— Nic! — mruknął, biorąc się do odpowiedzi na list.

— Jakto nic! Kłamiesz.

Ruszył tylko ramionami, i milczał.

— Ja się dowiem. Wszystkiego się dowiem, jak już wiele wiem. A tu tymczasem straciłeś lekko kilkaset rubli. — Goldmark miał atak, trzy razy byli u hrabiny Pelagii.

— Ano — trudno, nie mogę być tu i tam jednocześnie.

— A powiedz mi, co to za figura?

— Kto?

— Ano, jakiś twój rodak z pod Smorgoń, co tu wlazł wczoraj w kaloszach do salonu i zostawił tę kartkę.

Rzuciła mu na biuro bilet wizytowy: Floryan Sopoćko, a pod tem kilka słów ołówkiem.

Downar spojrzał, przeczytał, i włożył bilet do kieszeni.

— No i czego ta dzicz chce? — spytała pani. — Pewnie wsparcia.

— Sopoćko! To milioner!

— Mógłby za swe miliony być bardziej do ludzi podobny! No — ale to prawda — Sopoćko! Żeby Litwin stał się do ludzi podobny, straciłby w swych oczach całą wartość.

Downar milczał. Twarz jego nie zdradzała żadnego wrażenia, tylko sztywniała, kamieniała, zda się. Stojąca za nim kobieta nie badała zresztą wrażenia, jakie sprawia, była zajęta sobą.

— Była też Boufałowa dzisiaj, ale że koniecznie chciała z tobą się widzieć — udałam, że nie wiem, po co przyszła.

— Było dać trzydzieście rubli. Wiesz przecie, że się im miesięcznie należą!

— Po pierwsze: nie należą się, ale z łaski dostają. Po drugie: trochę mi zawiele tych twoich ubogich krewnych zagląda do kieszeni. Zresztą, mogła mnie poprosić. Fanaberya!

Dzwonek w przedpokoju. Pani wyjrzała.

— Od doktora Morawskiego bardzo pilne! — rzekł zdyszany głos.

Downar wziął z rąk żony kartkę.

— To o Goldmarku! — szepnęła, zaglądając mu przez ramię ciekawie.

Wtem na schodach, potem w przedpokoju rozległy się kroki i szlochanie dziecka, potem głos służącego.

— Czego tu, mała! Wynoś się.

— Do pana doktora przysłała mamusia! Tatuś się zarżnął w fabryce, jużci kona. Ola Boga! Mamusia leży, wczoraj siostrzyczka się urodziła. O Jezu! Mamusia z łóżka się zwlekła, i nie może wstać, tatko we krwi. O Jezu! Żeby pan doktor zaraz przyszedł!

Zaczęła mówić w przedpokoju, skończyła za drzwiami, bo ją lokaj usunął. Downar wyszedł z gabinetu, spojrzał na wygalowanego lokaja Goldmarka, wziął palto i kapelusz.

— Idę! — rzekł krótko.

— Spiesz się, spiesz! Możesz nie zastać! — mówiła żywo żona.

— I pewnie, że nie zastanę! — odparł.

Wrócił do gabinetu, wziął z szafy gruby pugilares z narzędziami. Śledziła go.

— Po co pociągasz za sobą ten cały kram? Tam nie będzie operacyi żadnej. Spiesz się! Czy cię czekać z obiadem?

— Nie czekaj, albo, jak chcesz! — odparł wychodząc.

Lokaj Goldmarka szedł za nim, na schodach skulona siedziała dziewczynka, cała otulona starym szalem, zerwała się na skrzyp drzwi i rzuciła się do jego rąk.

— Cicho, chodź ze mną! — rzekł szeptem.

Gdy byli już w bramie, zwrócił się do lokaja:

— Powiedz doktorowi Morawskiemu, że będę za godzinę.

Wyszedł na ulicę, skinął na dorożkę.

— Siadaj, mała, i prowadź!

Dorożka potoczyła się na Solec.

W trzy godziny potem Downar wrócił.

Żona przyszła zaraz do gabinetu, i zastała go, jak mył ręce.

— Gdzieś ty mógł tak obielić surdut? — zdziwiła się. — Cóż, żyje?

— Kto?

— Któżby? Goldmark?

— Jużem go nie zastał.

— Boś po swojemu się zbierał. Naturalnie nic ci nie dali. Ile ty tysięcy tracisz przez swą obrzydliwą litewską powolność! Nigdy niczego się nie dorobisz. Takie szczęście mając, inny miliony by zebrał, a my, co mamy?

— Na jeden obiad mamy, a dwóch nie zjemy — odparł spokojnie. Goldmarka nie było sposobu uratować. Po co się było spieszyć do trupa!

— Logika człowieka bez ambicyi. I co ci ludzie widzą w tobie? Ładniebyś wyglądał bez mojej opieki! No, ale masz mnie, nie dam ci zginąć!

Raczyła rozchmurzyć oblicze i poklepała go łaskawie po ramieniu.

— Wiesz, mam niespodziankę dla ciebie. Zgadnij.

— Może obiad, bom głodny!

— Jest i obiad, i jest kamieniczka. Ta wiesz, com targowała na Żórawiej.

— Kupiłaś? Ano, to dobrze. Ale obiad mi pilniejszy.

Zbliżył się do światła, chwyciła go za rękę.

— Skąd ty masz krew na mankietach?

Downar cofnął żywo rękę, spojrzał i odparł.

— Albo ja wiem? Trzeba się przebrać. Janie!

Wyszedł do sypialni. Na szarą, zawiędłą twarz Downarowej wystąpił rumieniec, rzuciła się do biurka, otworzyła pugilares z narzędziami.

— Był jeszcze gdzieś, przed Goldmarkiem. Dlatego się spóźnił! On mnie okrada, to prawda, co gadają Wolskie, ma kochankę!

Przeciętna żona zrobiłaby scenę, z wtórem płaczu, spazmów, ale Downarowej pożycie składało się z bezustannych wymysłów i gderania, i Downar do tego tak nawykł, jak do śpiewu kanarka i terkotania zegara, nie czyniło to już na nim żadnego wrażenia. Miała inny sposób, by go wyprowadzić ze spokoju.

Gdy po chwili przyszedł do jadalni, zastał żonę prezydującą u stołu w głuchem milczeniu. Zajął swe miejsce, spojrzał na puste naprzeciw siebie nakrycie, i spytał.

— A gdzież Stefan?

Był to krewny pani, student, który u nich się stołował i mieszkał.

Nie było odpowiedzi, tylko wzgardliwe ruszenie ramion.

Downar spojrzał na żonę i zrozumiał, że czeka go niełaska długa, że nie otrzyma odpowiedzi na najbardziej ważne i na najprostsze pytania i trwać to będzie, dopóki jej nie przebłaga. Przez cały zaś ciąg tej pokuty złość swoją wywierać będzie na służbie, w domu powstanie wojna, sroższa, niż zwykle, a w rezultacie kucharka, młodsza i lokaj poproszą o uwolnienie od obowiązków.

Wszystko to stanęło w myśli Downara i dało zupie smak żółci; przestał jeść.

Przy pieczeni wybuchła scena z Janem, który nie nagrzał do baraniny talerzy, wskutek tego zabrano baraninę i talerze do kuchni.

Milczeli oboje, obiad się przeciągał, nareszcie gdy pani sama odebrała z rąk lokaja kompot, i wymyślając kucharce poszła z nim do kuchni, Downar serwetę rzucił i głodny poszedł do gabinetu.

To jedno wiedział, że pracować może spokojnie, żona nie raczy go odwiedzić.

Czytał, pisał, i tak się wreszcie w zajęciu zatopił, że przesiedział do dwunastej.

Wtedy posłyszał złowrogie mruczenie w sypialni, potrącenie sprzętów, wreszcie trzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku.

To znaczyło, że będzie spać w gabinecie na otomanie.

Podniósł oczy, popatrzał na te drzwi, pomyślał chwilę, potem głową potrząsnął kilkakroć ruchem powolnym niedźwiedzia, któremu pszczoły zaplączą się w kudły i syczą! I znowu pochylił głowę nad jakąś rozprawą, którą pisał do druku.

I zdawało się, że ten człowiek jest zupełnie nieczuły, a on był tylko tak bardzo silny!

Nazajutrz, jak zwykle, wychodząc o dziewiątej, spotkał na schodach Kazię. Teraz już się znali dobrze i rozmawiali.

— Nie zaspała pani! — rzekł.

— Nie, ale zamiast na Mszę, idę wprost do lecznicy, i stracha mam.

— Niełaskawego przyjęcia. Ano, to pójdę z panią. Będzie raźniej.

— Dziękuję. Naturalnie, że z profesorem poszłabym wszędzie odważnie!

— Ale ja darmo nie służę, musi mi pani oddać przysługę także. Zostanę w lecznicy, a pani tymczasem pojedzie na Solec 18 i wyszuka w suterenie robotnika Wieczorka. Wczoraj go opatrzyłem, odwiedzę jutro, dziś nie mogę, ale tam jest siedmioro dzieci, najmłodsze ma dwa dni, najstarsze dwanaście lat.

— Już wiem, rozumiem, i załatwię co się da.

Weszli do lecznicy.

Zły humor i rozdrażnienie Szpanowskiej ułagodziło się przy pierwszych słowach Downara. Został przy niej i zastała go jeszcze Kazia, gdy wróciła z Solca. Zdała mu w paru słowach sprawę z polecenia i zajęła swe miejsce przy chorej. W południe odbyło się konsylium, zdecydowano operacyę za tydzień.

Szpanowski został u żony, Kazia uwolniła się, by załatwić zaległe interesa.

Wstąpiła po drodze do Ocieskiej. Zastała artystkę, sprzątającą w pracowni. Na stalugach stało puste płótno, na którem wycierała z farby pendzle, pisząc fantastycznie:

„Hans Huk Klauber, lass molen stolm".

— Co to znaczy? — spytała z uśmiechem Kazia.

— To znaczy, Hans, przestań już malować. Spełniam, bo jadę w świat!

— Dokąd?

— Do słońca.

— Na długo?

— Ha — albo ja wiem! Nie cierpię wiedzieć, co będzie, ile będzie! Nie jadłam nigdy w życiu obiadu, który sama dysponowałam. Ale chyba znowu do tej przeklętej Warszawy wrócę!

Cisnęła pendzle na stół.

— A pani gdzie była przez ten czas?

— U ojca. Grzebałam umarłych, doglądałam chorych. Mam ciężkie zmartwienie. Macocha leży w lecznicy Downara, było dziś konsylium, będzie operacya i prawdopodobnie zły koniec. Muszę nad nią siedzieć, myślałam, że panią uproszę o pomoc w moich pracach z panią Ramszycową. Boję się u niej pokazać, dwa tygodnie opuściłam.

— Ładnieby wyszli pani protegowani na mojej opiece. — Widziała pani „Wrzos“ Radlicza?

— Nie.

Ocieska się roześmiała.

— Kapitalne. Prawdziwe „article de Varsovie“. Toć przecie pani mu do tego pozowała.

— Ja?

— I za to mąż panią odesłał do rodziny i rozpoczął „kroki rozwodowe“. Przecie to fakt! I Radlicz spoliczkował za panią Kołockiego i mają się pojedynkować. Nie wie pani, skądże pani wraca?

— Wracam od natury i Boga, ze wsi. Nic nie wiem o błocie i ludziach!

Zbladła, zamyśliła się, przeciągnęła ręką po czole i uśmiechnęła się z przymusem.

— Co robić! Królestwa niebieskiego mi nie odbiorą.

— Radlicz jest osioł — mruknęła Ocieska. — Mówiłam mu: było sportretować grubą Rozenblatową. Żydy by ci dali tysiące i każdy rozsądny człowiek uwierzyłby, że ta ci pozowała. A tak sławy dużo nie zbierzesz, a gnaty ci słusznie przetrącą! Swoją drogą hultaj dał śliczny obrazek.

— Więc pani wyjeżdża — szepnęła smutno Kazia.

— Oj — osobliwość. Prawie wierzę, że mnie ktoś żałuje! — zaśmiała się szyderczo Ocieska.

— Niech pani wierzy. Będzie mi bardzo źle temi czasy, jeszcze gorzej bez pani niefrasobliwej filozofii. Zazdroszczę jej pani!

— Niestety, nie zaszczepić jej, a szkoda, bo z nią bardzo dobrze żyć. Powiadają jedni, że wszystko poznać, to wszystko wybaczyć. To dla pani napisane, na tem pani skończy życiową walkę.

— A pani zdanie?

— Moje osobiste: wszystko poznać, to nic nie chcieć! Z tem mi dopiero dobrze.

Kazia się uśmiechnęła.

— Myślę, że mnie sądzono: dużo chcieć, a nic nie poznać, i nic nie mieć! Więc z wiosną wróci pani? Proszę o słowo wieści.

— Dobrze. Napiszę, a pani niech na duchu nie upada. Wszystko minie. To jad szczęścia, a wino utrapienia. A zresztą: wszystko głupstwo.

Uścisnęły sobie dłonie.

„Wszystko głupstwo“ — powtarzała w myśli, idąc, wzburzona tem, co usłyszała, zaniepokojona, pomimo spokoju sumienia.

Ale nie mogła przejąć się niefrasobliwością Ocieskiej.

Wrzał w niej bunt na los, na ludzi, na samą siebie i głuche przekonanie, że pokierowała swem życiem fałszywie, poświęciła się napróżno, ni sobie, ni innym nie dała tylko szczęścia, ale nawet spokoju.

Czuła się słabą, niezdolną do dalszej walki, zniechęconą do obowiązków, obcą i wrogą w tem mnóstwie ludzi, w tem nienawistnem otoczeniu, i biedną, i smutną i samą.

Nie była w humorze załatwienia interesów i sprawunków, a chciała bodaj zobaczyć jedną życzliwą duszę, poszła tedy do Tuni.

Po drodze spotkała starą Markhamową. Wydało się jej, że powitanie było chłodniejsze, niż zwykle, a oczy matrony patrzały na nią krytycznie.

Spotkała dwie Wolskie, uśmiechnęły się dziwnie na jej widok, i coś do siebie szepnęły, skinąwszy jej tylko głową.

Tunia, dziwnym trafem sama w domu, przyjęła ją okrzykiem!

— Bój się Boga. Co się dzieje z tobą? Nie wiesz co się tu dzieje? Ładnieś się skompromitowała?

— Ja? Czem?

— Ano — Andrzej z Celiną za granicą.

— I to ma być moja kompromitacya!

— A czyjaż! Tyś winna i słusznie będziesz cierpieć. Mówiłam ci! To wstyd, to hańba, żeby mąż robił taki skandal! Jak ty teraz ludziom oczy pokażesz? W pół roku po ślubie rzuca cię dla starej awanturnicy. Pfu! jabym umarła ze wstydu! Być pośmiewiskiem!

Kazia słuchała w milczeniu. Rysy jej tężały w jakiś wyraz tępego uporu i zaciętości. Tunia zaś wyładowywała długo zbieraną żółć. Serdecznie lubiła dawną koleżankę, ale tak były odrębne! Odczuła gorąco jej „nieszczęście“, jak nazywała,

kłóciła się o nią zajadle ze znajomemi, teraz całą duszą pragnęła ją ratować.

— Nie rozumiem doprawdy ciebie. Nie masz odrobiny ambicyi. Młoda jesteś, ładna, elegancka i nie skokietować rodzonego męża! W twoim wieku zajmować się dobroczynnością, fach sobie z tego zrobić. Kto temu uwierzy! Naturalnie, twoje latania po różnych dziurach Powiśla to ci zrobiły, że posądzają, iż miewasz schadzki. Nikt nie uwierzy także, że bywasz u Ocieskiej, gdy Radlicz ma w tejże kamienicy pracownię i wystawia obraz z twoim portretem. Co wolno Ramszycowej, to nie wolno tobie. Zlituj się, toć opowiadają, że bywasz w szpitalu św. Łazarza. Już nie wiem, co jeszcze wymyślą na ciebie za bezeceństwa! Czyś zwaryowała! Masz dom, stanowisko tak piękne, stosunki z całym światem, młodego męża, notabene, ślicznego chłopca, i to wszystko depcesz, lekceważysz, opuszczasz — i po co! Doprawdy nie chcesz być szczęśliwą, chcesz zginąć! Żebym cię nie znała, jak znam, myślałabym istotnie, że jesteś kobietą bez czci i wiary, ale ty jesteś bez serca, i nie rozumiesz, co czynisz! A teraz co będzie? Co myślisz postanowić? Według mnie, powinnaś natychmiast wyjechać do ojca, i zagrozić mężowi rozwodem. To go opamięta! Tak, jak rzeczy stoją, nie możesz ludziom się pokazywać.

Tunia raz pierwszy spojrzała na nią uważnie i skamieniała.

Kazia się śmiała! Nie był to wesoły śmiech, ale ironiczny, podczas gdy oczy były zimne i twarde i złe.

Tak, Kazia czuła, że robi się złą i zaciętą.

— Czy mam wyjechać od razu z Radliczem, czy sama? — spytała zmienionym głosem.

Tunia się obraziła.

— Jeśli tak przyjmujesz moje serdeczne rady, możemy więcej o tem nie mówić! — rzekła, a zadarty jej nosek rozdymał się oburzeniem.

Kazia zapatrzyła się w szary, dymny szmatek zimowego nieba i milczała. Czuła, że coby powiedziała, Tunia ani jej zrozumie, ani uzna, ale jej żal było tak się rozstać z jedyną życzliwą sobie duszą.

— Przepraszam cię — szepnęła. — Jestem bezmiernie rozdrażniona! — i wyciągnęła do niej rękę.

Tunia nie umiała długo się dąsać. Nosek się jeszcze rozdymał, ale już wolniej.

— No, pewnie jesteś w okropnem położeniu. Jabym nie przeżyła chyba takiego upokorzenia. Ale trzeba myśleć o ratunku.

— To trudno! — rzekła poważnie Kazia. — Na to trzeba inną być niż jestem, inaczej czuć i myśleć. Trzeba przytem mieć dom i rodzinę, by do niej wrócić, i trzeba ojcu wszystko wyznać, a ja tego nie uczynię. Muszę milczeć i cierpieć i tu pozostać pod pręgierzem opinii.

Opowiedziała chorobę macochy, katastrofę, która wisi nad ojcem, konieczność ukrywania przed nim prawdy.

Tunia się zamyśliła.

— Istotnie komplikacya straszna. Ale przynajmniej rozmów się z teściem. Niech on wpłynie na syna. Tego trzeba opamiętać, niech wraca. Ludzie ścichną, gdy zobaczą cię pod męzką opieką. Ach, dałabym ja mu, dała, tobą będąc. Dziesiątemuby zakazał urządzać takie fugi. Ale ta kobieta ma w sobie jakiś szalony urok! Doprawdy, uczyć się od niej, jak się mężczyzn trzyma. Ja jej zazdroszczę tej sztuki, czy tego czaru.

W ruchliwym mózgu Tuni myśl zbiegła na tory miłości, rozchmurzyła się zupełnie.

— Wiesz, nie uwierzysz, ale i ja miałam z Julkiem przejście. Dowiaduję się, naturalnie przez mamę Wolską, że ma kochankę. Przeraziłam się, obejrzałam, że go zaniedbywałam i naturalnie błąd mój naprawiłam. Mieliśmy drugą edycyę miodowych miesięcy.

— Za to, że cię zdradził?

— Ano, cóż robić? Tem się mężów trzyma, moja droga. Muchy na ocet się nie biorą! Ty musisz ze swoim nie mieć odrobiny taktu i sprytu. Powtarzam, twoja wina tylko!

— Zapewne — uczucia mu nie obiecywałam, i nie dałam.

— To bardzo źle, bo to i błąd i grzech. Zresztą, jak ty możesz tak żyć bez miłości? Rybią masz krew czy co?

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

XII.

Szynk pod Winnicą Noego.

Człowiek w opończy, któregośmy widzieli przechadzającego się wzdłuż i wszerz po sali straconych kroków, któregośmy, podczas wyprawy budowniczego Giraud, generała Santerre i ojca Ryszarda, słyszeli rozmawiającego z odźwiernym strzegącym otworu podziemiów; ten zagorzały patryota w niedźwiedziej czapce i z pokręconym wąsem, który się przedstawił Simonowi jako obnosiciel głowy księżnej de Lamballe, nazajutrz po owym wieczorze tyle urozmaiconym wrażeniami, około godziny siódmej z południa znajdował się w szynku pod Winnicą Noego, leżącym jak wiadomo na rogu ulicy de la Vieille-Draperie. Siedział w sklepie kupca, a raczej kupcowej wina, w głębi sali zakopconej dymem tytoniu i świec łojowych, udając, że zajada rybę polaną czarnem masłem.

W sali gdzie zajadał, nie było prawie nikogo; bo już tylko pozostało tam zaledwie dwóch czy trzech zwykłych gości, korzystających z przywileju, jaki im nadawał codzienny pobyt w tym zakładzie. Stoły więc po większej części były puste; ale na zaszczyt szynku pod Winnicą Noego, wyznać należy, iż czerwone, a raczej fiołkowe obrusy świadczyły o przejściu zadawalającej liczby nasyconych biesiadników.

Trzej ostatni znikli także po kolei, a około trzech kwadransy na ósmą, patryota znalazł się tam sam jeden.

Naówczas, z odrazą odsunął od siebie półmisek, który przed chwilą zdawał się mieścić tak smaczną potrawę, i wyjął z kieszeni tabliczkę hiszpańskiej czekolady, którą jadł powoli, z wyrazem zbyt różowym od tego jaki poprzednio swej fizyonomi nadać usiłował. Kiedy niekiedy przegryzając czekoladę i czarny chleb, rzucał na szklane drzwi zasłonięte kraciastą firanką, pełne niecierpliwej trwogi spojrzenie; czasem nadsłuchiwał i ze szczególnem roztargnieniem przerywał swą sutą ucztę, wiele dając do myślenia gospodyni domu, siedzącej za kantorem blisko drzwi, na które patryota tak często spoglądał, a tem samem biorącej się za przedmiot jego roztargnienia.

Nakoniec dzwonek u drzwi wchodowych zabrzęczał, nasz patryota zadrżał i znowu niby zabrał się do ryby, a skrycie, tak aby gospodyni szynku nie widziała, rzucał jednę jej połowę zgłodniałemu psu, który się do niego łasił, drugą zaś kotowi, który nieraz drapieżnym pazurem głaskał psa po pysku.

Otworzyły się naostatek drzwi ukryte po za kraciastą firanką i wszedł jakiś człowiek tak samo prawie ubrany jak nasz patryota, ale zamiast czapki futrzanej, mający czapkę pąsową.

Ogromny pęk kluczy wisiał mu u pasa; od którego spadała także szeroka szabla skryta w blaszanej pochwie.

— Moja zupa i miarka! — zawołał ten człowiek, wchodząc do ogólnej sali, nie dotknąwszy nawet swej pąsowej czapki i poprzestając jedynie na powitaniu gospodyni kiwnięciem głowy. Potem odetchnął jakby po znużeniu i usiadł przy stoliku przyległym stolikowi, na którym wieczerzał patryota.

Gospodyni, wskutek zapewne pierwszeństwa oddawanego nowoprzybyłemu, wstała i sama poszła przynieść mu przedmioty, jakich żądał.

Obaj goście szynkowni siedzieli obróceni do siebie plecami, jeden patrzył w ulicę, drugi w głębię izby, a nie przemówili do siebie ani słowa, aż gospodyni zupełnie znikła.

Skoro się drzwi za nią zamknęły, przy blasku jedynej świeczki zawieszonej u żelaznego drutu człowiek w futrzanej czapce spostrzegł w umieszczonem naprzeciw niego lustrze, że izba jest zupełnie pusta.

— Dobry wieczór — rzekł do towarzysza, nie odwracając się.

— Dobry wieczór panu — rzekł nowoprzybyły.

— I cóż! — spytał patryota zawsze z udaną obojętnością — jakże nasz interes?

— Ha, to już rzecz skończona.

— Jakto, skończona?

— Tak, jakeśmy się umówili, umiałem się wymówić ojcu Ryszardowi od służby. Wymyśliłem, żem ogłuchł, żem oślepł, słowem w jego własnych oczach najdoskonalej zachorowałem.

— Bardzo dobrze, i cóż on na to?

— Ojciec Ryszard przywołał żonę, ta natarła mi octem skronie, niby więc do siebie przyszedłem.

— Cóż dalej?

— Potem, stosownie do naszej umowy, powiedziałem, że brak powietrza działa na mój wzrok, ponieważ jestem krwisty, i że służba w Conciergerie, mieszczącem w tej chwili czterystu więźni, zabija mię.

— Cóż ci odpowiedzieli?

— Matka Ryszard żałowała mię.

— A ojciec Ryszard?

— Wypchnął mię za drzwi.

— Ale to nie dosyć, że cię wypchnął.

— Czekajże pan, poczciwa matka Ryszard wyrzucała mu, że jest człowiekiem bez serca, kiedy się tak obchodzi z ojcem rodziny?

— A on co na to?

— Przyznał żonie słuszność, ale dodał, że najgłówniejszym warunkiem odźwiernego jest, aby mieszkał w więzieniu, do którego go przeznaczono, że rzeczpospolita nie żartuje i ucina głowy wszystkim, którzy ślepną na służbie.

— Tam do dyabła! — rzekł patryota.

— I nie mylił się ojciec Ryszard. Od czasu, jak tam osadzono Austryaczkę, dozorują jej jakby w samem piekle, tamby i własnego ojca nikt nie szczędził. Patryota dał talerz swój polizać psu, którego kot udrapał.

— Nakoniec — rzekł nie odwracając się.

— Nakoniec, panie, zacząłem jęczeć, narzekać, że mi bardzo słabo, żądałem lekarstwa i zapewniałem, że mi dzieci pomrą z głodu, skoro płaca moja wstrzymaną będzie.

— A ojciec Ryszard?

— Ojciec Ryszard powiedział, że kto jest odźwiernym, nie powinien mieć dzieci.

— Wszakże mam żonę tak jak i ty, ojcze Ryszard? — rzekłem.

— Na szczęście ona mi przyszła w pomoc, wyrzucając mu, że ma złe serce i ojciec Ryszard rzekł mi nakoniec: „No! obywatelu Grakchusie, porozumiej się z którym przyjacielem, on ci może pożyczy cokolwiek na rachunek twej płacy, przedstaw mi go, a przyrzekam ci, że przyjmę go“. Wyszedłem zatem, mówiąc: Dobrze, ojcze Ryszard, pójdę, poszukam.

— I znalazłeś mój zuchu?

W tej chwili weszła właścicielka zakładu, przynosząc Grakchusowi zupę i miarkę. Patryota i Grakchus nie bardzo byli z tego kontenci, bo jeszcze coś z sobą pomówić mieli.

— Obywatelko — powiedział odźwierny — ojciec Ryszard dał mi małą gratyfikacyę, a więc pozwolę sobie dziś zjeść wieprzowy kotlet z korniszonami i wypić butelkę burgundzkiego wina, poszlij no mi po jedno do rzeźnika, a po drugie do piwnicy.

Gospodyni natychmiast wydała stosowne rozporządzenia.

Służąca jej wyszła na ulicę, ona zaś sama udała się do piwnicy.

— Dobrze — powiedział patryota, roztropny z ciebie chłopak.

— Tak dalece roztropny, że bynajmniej, mimo pańskich pięknych obietnic nic nie ukrywam, do czego to wszystko obu nas doprowadzi. Czy pan się tego nie domyślasz?

— Wcale.

— Oto chodzi tu o nasze głowy.

— Nie turbuj się o moją.

— Wyznam panu szczerze, że pańska mniej mię kłopocze, jak moja własna.

— Ah! twoja.

— Tak jest.

— Ale jeżeli ja ją cenię dwa razy tyle co warta?...

— Eh! mój panie, głowa jest to rzecz nieoceniona.

— Ale nie twoja.

— Jakto! nie moja!

— Przynajmniej w tej chwili.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że twoja głowa nie warta ani szeląga, przypuściwszy, że ja naprzykład jestem agentem komitetu publicznego bezpieczeństwa, w takim razie jutro byłbyś gilotynowany.

Odźwierny tak szybko obrócił się, że aż pies zaszczekał na niego.

Blady był jak trup.

— Nie obracaj się i nie blednij — rzekł patryota — owszem kończ spokojnie twą zupę; nie jestem wyciągającym na słówko agentem, mój przyjacielu. Wprowadź mię do Conciergerie,

osadź na twojem miejscu, daj mi klucze, a jutro wypłacę ci pięćdziesiąt tysięcy lirów w złocie.

— I to prawda mój panie?

— O! wątpisz nawet, kiedy ci moją głowę daję za kaucyą?

Odźwierny przez kilka chwil namyślał się.

— No! — rzekł patryota, widząc go w lustrze — no! nie namyślaj się na złe; jeżeli mię denuncyujesz, spełnisz tylko twoją powinność i rzeczpospolita nie da ci ani grosza; jeżeli mi usłużysz, a tem samem nie spełnisz twojej powinności, a na świecie trzeba przecież czynić coś dla czegoś, wypłacę ci twoje pięćdziesiąt tysięcy lirów.

— O! ja bardzo dobrze pojmuję — mówił odźwierny — ile żądanie pańskie może mi przynieść korzyści, ale obawiam się dalszych skutków.

— Skutków... no! i czegóż to obawiasz się naprzykład? Wszakże ja cię denuncyować nie będę?

— Tak bym sądził.

— Nazajutrz po mojej instalacyi będziesz się przechadzał około Conciergerie, ja ci wypłacę dwadzieścia pięć rulonów, każdy po dwa tysiące lirów; to wszystko łatwo się zmieści w twoich kieszeniach. Razem z pieniędzmi dam ci paszport na wyjazd z Francyi, wyjedziesz i gdziekolwiek się udasz, będziesz, jeżeli nie bogaty, to przynajmniej nie zawisły.

— A więc! zgoda mój panie, niech będzie co chce. Jestem biedne człowieczysko, nie wdaję się w politykę Francyi i bezemnie było zawsze dobrze, to i teraz z mojej winy nie zginie, a pan jeżeli co złego zrobisz, tem gorzej dla pana.

— W każdym razie — powiedział patryota — sądzę, że nie można nic gorszego zrobić nad to, co dziś robią.

— Pozwolisz Pan, że nie będę krytykował polityki narodowej konwencyi.

— Wyborny z ciebie filozof, nic cię nie troszczy, ale do rzeczy, kiedy przedstawisz mię ojcu Ryszardowi?

— Choćby i dziś jeszcze, jeżeli pan chcesz.

— I owszem. Któż ja jestem?

— Mój kuzyn Mardocheusz.

— Mardocheusz, zgoda, podoba mi się to imię.

— Jakiż mój stan?

— Białoskórnik.

— Ah! to niewielka różnica od garbarza.

— Albóż pan jesteś garbarzem?

— Mógłbym być nim.

— Prawda.

— O której godzinie nastąpi przedstawienie?

— Za pół godziny, jeżeli pan chcesz.

— A więc o godzinie dziewiątej.

— A ja kiedy dostanę pieniądze?

— Jutro.

— Pan więc jesteś niezmiernie bogaty?

— Mam, ile mi potrzeba.

— Zapewne jaki były?...

— Co ci do tego?

— Mieć pieniądze i wydawać je dla tego, aby się narazić na gilotynę, doprawdy, na to trzeba tylko tych głupców byłych!...

— Cóż czynić! sankuloci tyle mają rozumu, że już go dla drugich zupełnie zabrakło.

— Ba! otóż i moje wino.

— A więc dziś wieczór, naprzeciw Conciergerie.

— Dobrze.

— Patryota zapłacił i wyszedł. We drzwiach piorunującym głosem zawołał:

— Hej! obywatelko! kotlety z korniszonami! prędzej! bo mój kuzyn Grakchus umiera z głodu.

— Poczciwy Mardocheusz! — rzekł odźwierny, kosztując wina, które mu nalała gospodyni i robiąc do niej słodkie oczy.

XIII.

Sekretarz ministra wojny.

Patryota wyszedł, ale nie oddalił się i przez zakopciałe szyby śledził, czy odźwierny nie wejdzie w stosunki z jakim agentem republikańskiej policyi, najlepszej, jaka kiedykolwiek istniała, gdyż wówczas jedna połowa społeczeństwa szpiegowała drugą, nietyle dla korzyści rządu, jak dla własnego bezpieczeństwa.

Atoli obawa patryoty nie sprawdziła się, na kilka minut przed dziewiątą odźwierny wstał, pogłaskał gospodynię pod brodę i wyszedł. Patryota złączył się z nim na bulwarku Conciergerie i obaj razem weszli do więzienia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

HYGIENA.

Wody mineralne.

Wody alkaliczno-solne. Wody tej grupy zawierają, prócz kwasu węglowego i dwuwęglanu sodu, jeszcze siarczan sodu czyli sól glauberską. Działanie wód alkaliczno-solnych zbliżone jest do działania szczaw alkalicznych, jednak dzięki zawartości siarczanu sodu, okazują one lekki wpływ czyszczący na przewód pokarmowy. Stosują się przy nieżytach żołądka i kiszek, przy zaparciach nawykowych, przy otłuszczeniu ogólnym ustroju, przy pełnokrwistości, wreszcie przy cierpieniach wątroby i dróg żółciowych. Najważniejsze zdroje z wodami alkaliczno-solnemi znajdują się w Czechach, a mianowicie: w Karlsbadzie, Marienbadzie Francensbadzie. Z niemieckich źródeł wymienić należy Elster, z polskich niektóre zdroje Szczawnickie.

Wody gorzkie. Dzięki zawartości siarczanu magnezu (soli angielskiej) wody gorzkie odznaczają się wybitnym wpływem drażniącym na błonę śluzową żołądka i kiszek. Są one silnym środkiem czyszczącym i jako taki znajdują szerokie zastosowanie w medycynie. Do najwięcej używanych wód gorzkich należą węgierskie wody: Franciszka Józefa i Hunyady Janos, czeska Püllnau'ska, niemiecka Friedrichshalska i polska Morszyńska

Solanki. Głównym działającym składnikiem solanek jest chlorek sodu czyli sól kuchenna Niektóre z solanek zawierają prócz tego jeszcze wolny kwas węglowy. Solanki dzielimy na mocne i słabe. Pierwsze zawierają od 2 do 4% soli i używane są przeważnie do kąpieli. Źródła mocnych solanek znajdują się w Nauheim, Oevenhausen, Hall, Reichenhall i między innemi u nas w Ciechocinku i Inowrocławiu. Słabe solanki zawierają od $^1/_4$ do 2% chlorku sodu, używane są przeważnie do picia. Wpływają one pobudzająco na działalność przewodu pokarmowego i pobudzają wydzielanie soku żołądkowego. Skuteczne są w nieżytach żołądka i kiszek, a także w podagrze, reumatyzmie, usposobieniu skrofulicznem itp. Do słabych solanek należą zdroje: Kissingen-Rakoczy, Wiesbaden, Baden-Baden, Homburg, Soden, z naszych: Druskieniki i Rymanów. Niektóre solanki zawierają, prócz chlorku sodu, jeszcze związki jodu i bromu. Solanki jodobromowe znajdują szerokie zastosowanie w leczeniu dzieci skrofulicznych lub cierpiących na angielską chorobę, a także w leczeniu uporczywych wypocin, zrostów itp. Do solanek jodobromowych należą wody: Kreuznach, Hall w Górnej Austryi, Ischl i polskie zdroje Iwonickie i Rabczańskie.

Wody litynowe. Związkom litu, które obok dwuwęglanu i chlorku sodu stanowią główny działający składnik tych wód, przypisują swoisty wpływ leczniczy na przebieg artretyzmu i podagry. Stąd sława wód litynowych w leczeniu tych uporczywych chorób. Najbogatszym w związki litynowe jest zdrój Bonifaciusquelle w Salzschliert, z innych zdrojów zawierają lityn między innemi Salvatorquelle w Peszcie i zdrój Kazimierza w Rabce, w Galicyi

Wody z solami alkalicznemi. Wody tej grupy cieszą się zasłużoną sławą w leczeniu chorób dróg moczowych, kamieni pęcherzowych i nerkowych, podagry, reumatyzmu i niektórych zaburzeń żołądkowych. Działającemi składnikami wód tych są węglan jak również siarczan wapna i magnezu. Do wód tej grupy należą zdroje: Wildungen w Niemczech, Contrexéville i Vittel we Francyi, Birsztany u nas.

Wody żelaziste. Dzięki zawartości żelaza w postaci dwuwęglanu żelaza, zdroje żelaziste są pożyteczne i znajdują zastosowanie w leczeniu bezkrwistości, blednicy i różnych stanów osłabienia i wycieńczenia. Zdroje żelaziste znajdujemy w Szwalbach, w Pyrmoncie, w Elster, Spaa, a przedewszystkiem w polskich zdrojowiskach: Krynicy, Żegiestowie, Nałęczowie i Sławinku.

Wody arszenikowe. Wody tej grupy zawierają, jako składniki działające, siarczan żelaza i związki arszenikowe w małych ilościach. Zastosowanie lecznicze wody arszenikowe znajdują w leczeniu chorób nerwowych, bezkrwistości i niektórych cierpień skórnych. Do wód arszenikowych należą: Levico, Roncegno i Guberquelle.

Wody siarczane. W wodach należących do tej grupy, znajdujemi prócz innych składowych części rozmaite związki siarki, a mianowicie siarczany i siarczki metali, jak również siarkowodór. Wody siarczane odznaczają się energicznem działaniem drażniącem skórę i błony śluzowe: używają się przeważnie na kąpiele w uporczywych postaciach artretyzmu, reumatyzmu, w przewlekłych zatruciach itp. Silne zdroje siarczane spotykamy w Akwizgranie w Niemczech, w Piszczanach i Trenczynie na Węgrzech, w Piatygorsku na Kaukazie, w Busku i Solcu u nas. *Dr Z. G.*

Najpiękniejsze kobiety.

Rezultaty krzyżowania ras.

Kiedy długoletnie doświadczenia uczą nas, że potomkowie powstali ze skrzyżowania ras, okazują szczególne skłonności do degeneracyi, prawo to zdaje się zupełnie nie zobowiązywać kobiety. Wiemy dobrze, że mieszańcy rodzaju męskiego, którzy zawdzięczają swe pochodzenie skrzyżowaniu rasy białej z czarną lub białej z czerwoną, łączą w sobie wszystkie ujemne właściwości obu ras. Ameryka południowa jest doskonałym przykładem takiej degeneracyi rasowej. I wogóle we wszystkich państwach kolonialnych, potomkowie krajowców i Europejczyków są znanem powszechnie niebezpieczeństwem pracy kolonizacyjnej.

Tem dziwniejsze więc, że mieszanie ras w znacznym stopniu wpływa na podniesienie urody kobiecej. Jest to dziś fakt zupełnie ustalony.

Córki Jawajek i Europejczyków są zdumiewająco piękne. Nie mają ani zadartego nosa Malajek, ani ust szerokich. Budowa ciała u Mulatek zadziwiająco jest kształtna: Piękne ramiona, piersi i wzrost zackwycające maleńkie nóżki, tworzą całość godną zachwytu.

Badacz Finsch znalazł pomiędzy córkami kobiet Maoryi z Nowej Zelandyi i Europejczykami prawdziwe piękności, jakich nie widział pomiędzy krajowcami. Także Nordenskjöld obserwował fakty podobne w Grenlandyi.

Kobiety franko-kanadyjskiej rasy metysów odznaczają się rysami nadzwyczaj regularnemi Często znajdują się pomiędzy niemi dziewczyny wprost klasycznie piękne. Kobiety aurakańsko-hiszpańskie posiadają przedziwną cerę, ogniste oczy, wielkie rzęsy, wspaniałe zęby, małe uszy, i zgrabne ręce i nogi. Wiele z nich ma jasne włosy i niebieskie oczy.

Wiele faktów podobnych zauważyło jeszcze wielu innych badaczów.

Dom i kuchnia.

Pomidory zielone w marynacie.

Zwykle pozostaje dużo zielonych pomidorów, które nie dojrzewają. Można je zużytkować, robiąc z nich wyborną i mało dotąd znaną marynatę. W tym celu wybrać ładne, całe i zdrowe, a zielone pomidory, obetrzeć ściereczką, włożyć na polewaną miskę i posolić. Po 24 godzinach wymieszać dobrze, aby wszystkie solą przejęte były i zostawić jeszcze na 24 godzin. Potem wyjąć, każdy pomidor obetrzeć ściereczką na sucho, ułożyć w słój i zalać mocnym octem, ostudzonym, przegotowanym z korzeniami i kawałkiem pieprzu tureckiego.

Przygotowanie szczawiu na zimę.

Szczaw robi się w połowie października; obrane liście szczawiu z ogonków przepłukać parę razy, wyłożyć na sito, gdy dobrze osiąkną z wody, usiekać na czystej stolnicy bardzo drobno, sok, który się przy siekaniu wydziela, odlewać na donicę, po usiekaniu zmieszać razem, osolic nie wiele, bo od większej ilości soli szczaw czernieje, naszykować butelki wymyte, suche, nakładać łyżeczką, potrząsać butelkę, żeby się więcej zmieściło, zakorkować świeżym korkiem, zalać lakiem, wynieść do piwnicy lub postawić w chłodnej śpiżarni. Szczaw robiony w ten sposób da się cały rok przechować, zachowując zieloność, smak i zapach świeżego. Zieloność zupy kucharki psują; do zupy szczaw nie powinien być dłużej smażony w maśle nad 12 minut; gdy smażony godzinę, a nawet dłużej, wtenczas zupa staje się koloru ciemnego, traci smak i nie wygląda tak dobrze, jak gdyby podana ze świeżego szczawiu. Używać do przechowywania butelki t. zw. ósemki, proporcya taka wystarcza na 12 talerzy; najlepiej, gdy do każdej zupy zużywa się świeżą butelkę.

Szczaw używa się na przechowanie ogrodowy; zbierany na łąkach jest twardy, mało gdzie dzisiaj używany.

Chcąc mieć podawany na rosole w liściach, należy w ten sam sposób urządzić, z tą różnicą, że nie sieka się, a w całości liście kładzie do butelek.

Wyborny sposób przyrządzania wątróbki cielęcej.

Wątróbkę udusić. Kiedy już jest na doduszeniu nakrajać i przełożyć plastrami szynki gotowanej. A w sos przetrzeć przez durszlak pomidory. Razem jeszcze dusić parę minut i dać na stół z paroma kartofelkami.

Biały kapelusz filcowy

można wyczyścić, wycierając weń magnezyę. Następnie zostawić w nakrytem pudle przez tydzień; po upływie tygodnia wyjąć i wytrzepać dobrze — będzie jak nowy.

HUMORYSTYKA

Szczery.

— Niech mi pan powie, panie Adolfie, co pan zrobi, jak ja powiem: „tak!“

— Natychmiast pójdę do ojca pani, i zapytam się, ile daje posagu.

U szewca.

— Wiesz pan, potrzebuję lakierów, ale teraz nie mam pieniędzy...

— Oh! to głupstwo, to ja mogę zaczekać!

— Czyżbyś pan był tyle łaskaw?

— Ależ z przyjemnością zaczekam! Jak pan będzie miał pieniądze, to niech pan przyjdzie do mnie po lakierki...

Szczęśliwy mąż.

— Słyszała pani, Janowi żona uciekła!

— Szczęśliwy człowiek, w samym początku karnawału, ile to on na jej strojach zaoszczędzi...

W biurze małżeństw.

— Panie, chciałbym się ożenić?

— A jaką pan chce mieć żonę?

— O! mam dużo wymagań! Najpierw musi być bogata, bo ja jestem goluteńki, powtóre musi być piękna, bo ja, jak pan widzi, jestem strasznie brzydki, a po trzecie musi pochodzić z nadzwyczaj porządnej rodziny, bo moi rodzice zostawili mi bardzo zaszargane imię...

— A wie pan co, że mam dla pana taką pannę. Ma tylko jedną wadę...

— No, jaką?

— Od czasu do czasu dostaje pomieszania zmysłów...

— E, to głupstwo, biorę ją, prowadź mnie pan do niej...

— Zaraz, nie tak ostro, musimy poczekać...

— Na co?

— Aż dostanie pomieszania zmysłów, boć inaczej za pana nie pójdzie...

W sądzie.

Sędzia do pokątnego doradcy.

— O cóż tedy panu chodzi?

— Prześwietny sądzie, występuję przeciwko Grzegorzowi Sadło, który ukradł jaja.

— Jakie jaja?

— Znoszone do spichrza przez Koguta!

— Co! Jaja znoszone przez Koguta! Pan wiesz, że podobne żarty w sądzie nie są dozwolone?

— Ależ to, co mówię, jest szczerą prawdą.

— Czyś pan zmysły postradał?

— Prześwietny sądzie, mój klient zajmuje się handlem jajami, które znosi od chłopów z całej wsi do spichrza... Nazywa się przytem Jankiel Kogut.

Fizyonomia fachowa.

— Mój panie, bywasz w moim domu przeszło rok, córka zakochała się w nim... Musisz się żenić!

— Szanowny panie, to być nie może. Pańska córka jest zbyt rumianą, ja zaś od żony wymagam, by miała fizyonomię fachową.

— Jaką?

— Aby była bladą jak ściana.

— A to czemu?

— Bo ja, panie, zakładam przedsiębiorstwo pogrzebowe. Żona rumiana odstraszyłaby gości.

Zna ich.

Kilku żołnierzy portugalskich, opadłszy przechodnia na pustej ulicy w Lizbonie, zabrało mu pieniądze i zegarek. Zauważywszy, do jakiego pułku należą, poszedł do pułkownika oskarżyć winowajców.

— Jakie ubranie miałeś pan wówczas na sobie? — zapytał pułkownik.

— To samo, które mam dzisiaj.

— W takim razie to nie z mego pułku żołnierze. Oho! znam ja ich! Moi byliby pana obdarli do koszuli.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.